



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 50. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. Numer pojedynczy kop. 15. — w Poznaniu prenumerować można w księgarni Leitgebera; w Krakowie za pośrednictwem ustanowionej agencji, przysyłając należność do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelnicy ludowej. Przedpłata dla Galicji z przesyłką pocztową kwart. złr. 3 c. 52. w Krakowie złr. 3 c. 26. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. Gregorowicza w Warszawie Ulica Zabia Nr. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Treść Numeru. Dzieje duszy (Wiersz). — Bal maskowy. — Korespondencja ze Lwowa. — Widzenia. Fantazja Jana Turgeniewa. — Przegląd teatralny. Pamiętnik Wacławy przez Elżbę Orzeszkową. — Mąż i Żona powieść tłum. przez Paulinę Wilkońską. Przytyn dodatek z drzeworytami.

Dzieje duszy.

Z pośród tłumów czasem skrycie
Bóg wybierze duszę czystą,
I pomału ją przez życie
Wiedzie drogą krzemienistą.

Jej dobrocią żywo tknięty,
Woła świata niedociekła,
Technie w nią płomień uczuć święty,
By tem więcej krwi z niej ściekło.

Dole zsyła jej ubogą,
Aby dusza ta wybrana,
Szła ku niemu cichą drogą,
Sama jedna — niepoznana.

Uciśnięta w twarde kleszcze,
Próżno wznosi w niebo głosy,
Gdy się zżyma — smaga jeszcze,
Gdy się korzy — zdwaja ciosy.

W ukochane godzi głowy
Bez wytchnienia, raz po razie,
Chłostą krzesze w niej hart nowy,
Niby młotem skrę w żelazie.

Patrzy sędzia niezblagany
Zaliż próby jej nie znużą,
Gdy zahuczą uragany,
Czy w zapasy pójdzie z burzą!

A gdy widzi niezwalczoną
W próbach, w ogniu, w łzach, w żałobie,
Słodko bierze ją na łono,
Tak Bóg duszę kuje Sobie.

S. D.

Bal maskowy.

Ustęp z powieści Marja Stuart przez Ernesta Pitawala.
Berlin. 1870.

Wszehwładny minister i ulubieniec króla Henryka VIII, biskup Cranmer dawał bal maskowy w pałacu swoim w Hampton. Wielka sala balowa była wybita suknem barwy purpurowej, na galerji przeznaczonj dla heroldów i muzykantów, rozwieszono kosztowne kobierce a świec woskowych paliło się tyle, że i blask słońca nie mógłby dać więcej światła. Na stołach poustawiano flaszki i złote puhary, złote półmiski z najwyszukańszymi potrawami. Goście tworzyli grupy, jedni rozmawiali, drudzy wypróbowali puhary, inni przechadzali się parami. W przyległym pokoju grano teatr, nadto ozdobna galerja prowadziła z sali balowej do ogrodu, gdzie w altanach znajdowały się stoliki z przepyszными owocami i cukrami.

U wejścia do tej galerji, w zagłębieniu które tworzył wystający filar, stał wysoki, okazały mężczyzna z skrzyżowanymi na piersiach rękami i patrzył ponuro na różnobarwny tłum podochoconych gości. Nagle ożywiło się jego oko, twarz okryła się płomieniem. Chwycił za purpurową firankę, która okrywała filar i stanął za nią niewidzialny.

Jakaś dama zbliżyła się do galerji. Tak zwinnie przeciskała się przez tłum, że dwie inne maski, za ledwie mogły zdążyć za nią. Suknia jej dotknęła firanki... ukryty za nią człowiek wzdrygnął się jak przed ukąszeniem żmii, i dopiero gdy dama i ci, którzy ją ścigali, zniknęli z przed jego oczu, wyszedł z kryjówki i wolnym krokiem puścił się za niemi. Dzika namietność zapłonęła w jego oku, gdy w tem ktoś schwyił go za rękę.

— Witajcie lordzie Warwick! szepnął ubrany elegancko młodzieniec. Czy widzieliście tę młodą damę w białej atlasowej sukni z maską błękitną?

— Czego chcecie od niej, hrabio Surrey? spytał lord ponuro, ściskając jednak uprzejmie rękę młodzieńca.

— Śmieszne to pytanie, mylordzie. Jesteśmy na balu, gdzie młodzież ma prawo polować na piękności.

— Sir Robercie ta zwierzyna nie dla was.
— Czy lord Warwick jest moim rywalem? Ona tu się znajduje a wy wszak chcieliście iść za nią.
To mówiąc Surrey chciał puścić się dalej, ale lord

z żelazną siłą schwyił go za rękę.. Młodzieniec spojrzał mu w oczy wyzywająco, jakby chciał żądać wytłómaczenia co znaczy to dziwne postępowanie.

— Surreyu, szepnął Warwick głosem drżącym, kocham was jak własnego syna. Nie chodźcie za nią, mówię wam, bo to można nałożyć głowę. Zwróćcie w inną stronę swoje zapęły i zapomnijcie o cieniu za którym ja idę.

— Mylordzie, jeżeli grozi niebezpieczeństwo, na krok was nie odstąpię. Syn Karola Howarda idzie zawsze z Warwickami. Czyż jestem dzieckiem, że mię odpychacie jakby z obawy abym się nie sparzył w palec?

Lord zaczął się niecierpliwić.

— Czyńcie zresztą co wam się podoba, rzekł po chwili z niechęcią, a jeżeli wam życie miłe nie puszczaście się sami i milczcie.

To mówiąc lord puścił się wzdłuż galerji, zaszedł na dół i stanął u wyjścia jakby się namyślał, w którą stronę zwrócić swoje kroki. Oko jego zdawało się przeszywać nieoświetlone ustronia ogrodu. Nagle wziął miecz pod rękę aby nie szeleścił po ziemi, i puścił się wielką aleją wysadzoną wiązami, i skradając się szybko od drzewa do drzewa, starannie ukrywał się w cieniu.

Hrabia Surrey szedł za nim. Sir Henryk Howard hrabia Surrey, Petrarca angielski, lubił awantury romantyczne, a o taką chodziło tu widocznie, skoro dumny, ponury lord Warwick jak złodziej skradał się po ogrodzie a jemu powiedział, że tu można nałożyć głowę.

Lord zwrócił się na prawo ku zaroślom i wszedł w gęstwinię. Postrzegłszy że Surrey idzie za nim ścisnął go za rękę i nakazując milczenie położył pałec na ustach.

Surrey uczuł że ręka lorda drżała, a gdy chciał spojrzeć w płonące ogniem oczy Warwicka, ujrzał w gęstwinie białą atlasową suknię.

Znajdowali się w miejscu tak ustronnem, iż Surrey nie wątpił że lord szpieguje czyjąś schadzke, nie pojmował jednak dla czego mąż ten, tak dumny, namietny i śmiały, ogranicza się na podsłuchiwanie zamiast wyzwać rywala.

Upłynął może kwadrans gdy dały się słyszeć kroki w tej stronie, w której Surrey widział białą suknię, tam jednak nie słyhać była najbliższego szmeru.

Kroki zbliżały się. Surrey postyszał ciche szepkanie.

W tem zaszleściło w gęstwinie.

Dwie osoby zbliżyły się do podsłuchujących, tak że Surrey słyszał słowa i mógł poznać po głosie kto mówi.

— Joanno kochana, szeptało w gestwinie, mówisz że Anna mię nie kocha. Toż samo mówiła mi Anna, kiedy pragnęła abym odepchnęła Katarzynę.

Surrey zadrżał, był to głos króla.

— Najjaśniejszy panie, odezwiała się druga osoba, Anna kocha kogo innego, wiem z pewnością.

— Kłamstwo! krzyknęła kobieta wchodząca nagle z przeciwną stronę.

Dwie osoby które przed chwilą rozmawiały skończyły przerażone. Anna Boleyn, królowa angielska płonąca oburzeniem i gniewem stała przed mężem.

— To kłamstwo, Henryku — o Boże! czemuże u ciebie na to zasłużyłam?

— Mylady, odparł król, podsłuchujesz żart dozwolony na maskaradzie, poniżasz się pani.

— Henryku, to więcej niż żart, to zdrada bo mój małżonek poniża się, holdując jedną z moich służebnic. Joanna Seymour natychmiast opuści dwór.

— Dość tego mylady, przerwał Henryk gwałtownie tonem groźnym, tak mogła mówić Katarzyna Arragońska ale nie pani. Skoro zaś poznałaś pani króla dodać zrzucając płaszcz pielgrzyma i kapelusz z szerokiemi kresami który twarz jego zasłaniał, to poznasz i sędziego, który zbada oskarżenie wniesione przez Joannę Seymour.

To mówiąc podał rękę Joannie i oboje wyszli z gestwiny. Pod Anną nogi zadrżały, oko utkwione w odalającą się parę, strętwiało.

— Początek kary za Katarzynę! westchnęła i wzdręgnęła się jakoby tknięta ogromnem przecuciem.

W tej chwili lord Warwick stanął przed nią. Królowa posłyszawszy kroki zadrżała.

— Jestem zgubiona, Norfolku, szepnęła z cicha nie patrząc do kogo mówi, — jestem zgubiona jak niegdyś Katarzyna.

— Mylady raczy spojrzeć, rzekł lord, Norfolk i Harry uciekli, hrabia Warwick stoi przed panią.

— Warwick! jęknęła nieszczęśliwa i cofnęła się jakby przed widmem, to pomsza Boża!

— Powiedz pani kara Boża, odpowiedział lord ponuro. Skłonił się nisko i odszedł w zarośla bo z pałacu wychodzili słudzy z pochodniami.

— Chodźmy, szepnął Warwick do Surreya, będzie rewizja w ogrodzie.

— Królowa mdleje, rzekł tenże, — trzeba ją ratować.

Warwick pociągnął go z całej siły.

— Czy chcecie dostać się do Toweru? Chcecie żeby was oskarżono o współnictwo z królową? Tego tylko potrzebowały królowi.

Szybko pobiegli ku bramie. Zelewie ją minęli, dał się słyszeć głos trąby.

— To sygnał do zamknięcia parku! powiedział Warwick z szyderskim uśmiechem. Teraz jej głowa wisi na włosku.

Surrey zadrżał przed tą nieubłaganą nienawiścią, serce jego litowało się nad piękną królową, tak okropnie upokorzoną. Przed godziną czarowała go wspaniała jej postać, byłby upadł przed nią na kolana gdyby mu powiedziano, że ta piękna głowa nosi koronę Anglii, teraz upadała pod brzemieniem nieszczęścia i upokorzenia, a bronić jej było zbrodnią stanu!

— Czy to prawda że zdradziła króla? zapytał. Mylordzie, zdaje mi się że macie osobistą nienawiść do królowej. Ale chociażby nawet zbłądziła, uniewinnia ją postępowanie króla.

— Bog jej odmierzy jak na to zasłużyła! odparł Warwick. Czy na dworze Franciszka I w Paryżu, nie opowiadano wam dla czego Henryk VIII odepchnął Katarzynę i co było powodem jego sporu z kościołem?

— Nie mylordzie, sądzą tam że papież rozdrażnił króla odmawiając mu rozvodu, i że król byłby się z nim pojednał, gdyby nie ta sprawa rozwodowa. Zresztą dręczyły go podobno skrupuły sumienia, bo Katarzyna była wdową po jego bracie i kościół uznał w tym związku kazirodztwo.

Lord uśmiechnął się gorzko.

— Henryk VIII i skrupuły sumienia! Jakże dziwnie brzmią te wyrazy razem wymówione! Zwierzęca zmysłowość i pragnienie krwi, oto namiętności tego bezmózgiego Kaliguli. Starać się o ich zaspokojenie i sztydzić z wszelkich przeszkód, oto pragnienie jego, które tymbardziej się wzmagają im większy napotyka opór. Byliście we Francji Surrey, pisaliście tam wiersze i uczyliście się wykwinnych żańców, może słyszeliście przy tem, że król angielski

Henryk VIII uczony toczył spór z kościołem. Zdaje wam się, że ambicja i duma niepozwoiliaby królowi ustąpić i ukorzyć się przed kłutwą papieża — tak się to mówi światu, król Henryk uważa trochę na formy i założy się, że Annie Boleyn także bardzo uczenie dowioda że dobro Anglii nakazuje, aby Henryk VIII jej dawną pokojówkę uczynił królową Anglii.

— Czyście oszaleli, mylordzie, królową? Zależało was nienawiść. Może stać się niewiernym małżonce, nikt mu w tem przeszkodzić, ani zdradzonej kobiety pomścić nie zdoła, ale śmiałżeby sztydzić tak z wszelkiej moralności, praw przyrodzonych i opinii publicznej?

— Ośmieli się na wszystko, bo Joanna Seymour przysięgła nie okazać się mu powolną, dopóki jej nie posadzi na tronie.

(d. c. n.)

Korespondencja ze Lwowa.

(Dokończenie).

Mówiąc o pracach rady miejskiej niepodobna pominąć jednej kwestji piekającej, która od kilku już lat grozi uboższej ludności Lwowa fatalną klęską, a do której załatwienia pomyślnego, reprezentacja miasta znakomicie może się przyczynić. Mowa tu o niesłychanej drożyznie pomieszkani, która przy ciągłym wzroście ludności a stosunkowo bardzo nieznacznym przybywaniu nowych kamienic, corocznie do kolosalniejszych dochodzi rozmiarów. Niezamożną część ludności Lwowa powiększony w dwójnasób czynsz za pomieszkania, wypchnął już przed kilku laty do odleglejszych przedmieść, ale obecnie i tam już właściciele domów, idąc za przykładem swych kolegów z centrum miasta i korzystając z drobnego powiększenia produktów, nielitościwie powiększają czynsz prawie co pół roku. Jestto sprawa bardzo wielkiej wagi i nagląca. Dlatego też zająć się nią powinna rada miejska wspólnie z bankiem budowniczym i prywatnymi przedsiębiorcami. Od kilku lat już nosi się miasto z myślą wybudowania gmachów na pomieszczenie szkół, a dotychczas zdobyło się zaledwie na założenie fundamentów pod gmach gimnazjum Franciszka Józefa. Dopiero w tym roku rozpoczął się ma budowa drugiego gmachu na zielonem przedmieściu, a o budynku dla techniki nawet nikt nie mówi jeszcze. A przecież spieszne wykonanie tych oddawnych powziętych planów, ulżyłoby bodaj cokolwiek niedole publiczności lwowskiej, dla której opróżniłoby się przez to kilka kamienic dotąd przez miasto na szkoły najmowanych. Rada miejska mogłaby wreszcie znakomicie pomódz bankowi budowniczemu w jego zadaniu przez sprzedaż placów miejskich, które dzisiaj nie przynoszą pożytku interesom miasta i ani nie przyczyniają się wcale do jego ozdoby a w rękach banku budowniczego przyniosłyby korzyści pod jednym i drugim względem. I tak na przykład zrobiło miasto w ubiegłym roku całkiem nową ulicę, łączącą ogród jezuicki z ulicą sykstynską. Po jednej i drugiej stronie tej nowej ulicy, możnaby postawić cały szereg kamienic. Bank budowniczy zrobił ten projekt poprzedniej radzie miejskiej, ale otrzymał odmowną odpowiedź. Rada chciała na własną rękę plan ten wykonać, ale oczywiście skończyło się wszystko tylko na chwilowym zamiarze, a cały wielki plac stoi do dzisiaj niezabudowany.

Ten fakt usprawiedliwia poniekąd bank budowniczy, który w poprzednim roku nie odpowiedział nadziejom przywiązywanym do jego założenia. Jedynym bowiem rezultatem całej jego przeszłorocznej czynności, jest kilka niezupełnie jeszcze ukończonych budynków. W tym roku przyrzeka bank powetować nam doznany zawód, i już rozpoczął czynności swoje budową dwóch pięknych kamienic w najruchliwszej części miasta. Jeżeli dotrzyma przyrzeczenia, to wyświadczy ludności Lwowa wielką przysługę, a sam zrobi doskonały interes.

Za dużo może miejsca poświęciłem sprawom naszego miasta, ale wypadało pomówić obszerniej o przedmiocie, który dzisiaj najwięcej zwraca na siebie uwagę.

Schyłek zimy uprzyjemnili nam panowie Taborowski i Diem swojemi pięknymi koncertami, które we Lwowie znajdują zawsze bardzo dużo miłośników. Tym razem wypadły nawet koncerty daleko świetniej

niż zazwyczaj. Gra obu artystów zasługiwała niezawodnie na to wyszczególnienie, bo celowała wysoko rozwiniętem mistrzostwem i nadzwyczajną precyzją. Pan Diem znalazł we Lwowie tak serdeczne przyjęcie, jakiego może nie w każdym mieście swjej ojczyzny doznawał. Zainteresował on bardzo publiczność naszą znakomitą grą, na wiołonczeli i dziwną, prawie bajeczną przeszłością swoją. Pan Diem był bowiem aż do 24 roku życia pastuchem w górach południowej Bawarii i w gronie swoich rówieśników odznaczał się rzadkim talentem do muzyki. Przegrywając w polu i we wsi na fujarce własnego wyrobu, potrafił młody chłopak zwrócić na siebie powszechną uwagę wszystkich wsi okolicznych. To też na każdym weselu i każdej wiejskiej zabawie, nie obeszło się bez sprytnego muzyka wiejskiego. W ten sposób zarobił sobie pan Diem kilkaset złr. i puścił się w świat, by się trochę w nim rozpatrzeć. W jakiejś miejscowości bawarskiej posłyszał grę jego znawca muzyki, podobno dyrektor monachijskiego konserwatorium, i ten przypadek zadecydował o losie młodego chłopaka i rzadkiego talentu, który bez nadzwyczajnego zbiegu okoliczności zmarniałby był niezawodnie. Ów muzyk, który umiał zaraz w pierwszej chwili ocenić niezwykłą potęgę talentu, namówił chłopaka, by z nim pojechał do Monachium. Tam przy pomocy ludzi zamożnych i skorych do poparcia wielkiego talentu, dostał się do konserwatorium i dzisiaj należy do rzędu muzyków, którzy poszczycić się mogą europejską sławą. O tych dziwnych kolejach życia opowiadał pan Diem swoim tutejszym kolegom. Podczas swego pobytu we Lwowie otrzymał list od matki góralki, która upomina syna, by nie zeszedł na bezdroża wśród tego wiru wielkiego świata, w którym teraz ciągle przebywa. W dopisku donosiła pocztowa starszuszka swemu synowi różne szczegóły o swoich krowach. Diem jest jeszcze młody i chociaż tak późno talent jego mógł się rozwinąć, zjednął już sobie dzisiaj rozgłos szeroki. Mimowoli nasuwa się myśl ile to w naszym ludzie wiejskim marnieje podobnych potężnych talentów, których przypadek nie zbliżył do znawców tej bożej iskry!

Repertoar naszego teatru znacznie się wzbogacił w ostatnim miesiącu. Po dłuższem milczeniu p. Aleksander Fredro (syn) napisał dwie komedje: *Mentor* w trzech aktach i jednoaktową komedijkę *Consilium facultatis*. Obie sztuki przyjęły publiczność bardzo przychylnie, a krytyka poszła za jej przykładem i podniosła tylko zalety, milcząc zupełnie albo tylko zlekka wspominając o wadach. Nie podaję treści obu komedji, bo niebawem zapewne pojawią się one i na scenie warszawskiej. Treść ta nie obfituje ani w pomysły oryginalne ani zreczne i ciekawe intrygi, więc z niej niepodobna wyrobić zdania o wartości obu sztuk. Dowcip za to dopisał autorowi w zupełności i zapewnił sztukom trwalsze prawo obywatelstwa w naszym repertoarze. W *Consilium facultatis* autor za nadto popuścił wodze swjej wienie humorystycznej i często kokietował śliskimi dowcipami. Komedjka ta przypomina pod tym względem inny dawniejszy utwór tegoż autora *Piosenka wujaszka*. Być może, że publiczność nasza dotąd jeszcze nie pogodziła się z nowoczesnym trywializmem w komedjach, a w takim razie najświetniejsza komedjka p. Fredry mogłaby się doczekać tego samego losu, jaki spotkał *Piosenkę wujaszka*, która po kilku przedstawieniach wykreślona być musiała z repertoaru mimo wielkiej dozy humoru i dowcipu. Obok tych dwóch nowych sztuk p. Fredry mieliśmy pierwsze przedstawienie komedjki p. Władysława Koziembrodzkiego *Balowe rekawiczki*. Pod względem elegancji prawdziwie salonowej, mało komedji mogłoby iść w zawody z tą bluetką. Komedijkę tę napisał autor jeszcze przed kilku laty, ale to nie przeszkadzało dyrekcji opóźnić się tak znacznie z jej przedstawieniem. Zapewnie za kilka lat doczekamy się także pierwszego przedstawienia dwóch niedawno w Krakowie nagrodą uwieńczonych komedji: *Epidemia* (J. Narzyskiego) i *Pracowici próźniacy* (M. Bałuckiego), chociaż publiczność radaby poznać je jaknajprędzej. Dyrekcja nie zważa na tę ciekawość, a natomiast z wygórowaniem do najwyższego stopnia przecenianiem swoich sił artystycznych, przedstawiała w bardzo krótkich przerwach takie arcydzieła jak *Hamlet* i *Fiesco*. To też przedstawienia te wypadły tak fatalnie, że uważałyby je można za rozmyślną zniewagę wyrządzoną arcydziełom największych mistrzów scenicznych. Żaden z artystów nie umiał zbliżyć się przynajmniej do ideałów poetów

a heroiczne wysilenia pana Wolańskiego i pani Wolańskiej były może jedyną, ale bezskuteczną stroną dodatnią, całej reprezentacji. Najpoważniejszy dziennik lwowski po tem przedstawieniu wydrukował ostrą krytykę, pełną gorczy i słusznego oburzenia na dyrektora, która po kilkuletniej gospodarce zdobyć się już może tylko na przedstawienie fars i lekkich komedijek. Najlepiej postąpił sobie fejtysta jednego z tutejszych pism politycznych, który zamiast wyczerpującej recenzji napisał następujący bardzo trafny czterowiersz:

Dzisiaj na scenie polskiej Hamlet
Dla nas jest to wielka feta
Gdyby był to Szekspir wiedział
Świat nie miałby dziś Hamleta...

Podobno niezadługo wypadnie mi napisać nekrolog naszej *Mrówce*, która obecnie jest jedynym u nas tygodnikiem literackim. Wydawca *Mrówki* p. A. D. Bartoszewicz nosi się jak słyzałem z zamiarem zawieszenia swego pisma, a natomiast chce założyć księgarnię we Lwowie. Szczęść Boże, ale wątpimy by podobna zmiana powetowała p. Bartoszewiczowi wielkie straty, poniesione przy wydawnictwie *Mrówki*. Wydając pismo mógł się aż nadto już przekonać o apatji Galicji do czytania, a na cóż w takim razie powiększać i tak już na Lwów za dużą liczbę księgarń?

Kraków za to wzbogaca naszą literaturę periodyczną nowym pismem humorystycznym pod bardzo oryginalnym tytułem: *Coś*. Obok *Djabła i Szczutki* i *Chochlika* będzie to czwarte pismo humorystyczne. Poważni i spokojni Kraków zerwał się nagle do silnej rywalizacji ze Lwowem. Dotychczas bowiem Lwów miał dwa pisma humorystyczne (*Szczutka* i *Chochlika*) a Kraków jednego tylko, ale za to bardzo złośliwego *Djabła*. Obecnie zatarła się już ta różnica a kto wie, czy Kraków nie zechce wkrótce jeszcze i wyprzedzić nasz Lwów wesoły. Jeżeli bowiem pisemku humorystycznemu dowcip zawsze tak dopisze jak przy ułożeniu programu, to stać się może niebezpiecznym rywalem dla swoich kolegów. Program ten jest tak zręczny i dowcipny, że warto powtórzyć z niego bodaj ustęp główniejszy. „Gdziekolwiek się zwrócimy — pisze redakcja — wszędzie słyszymy że *Coś* jest potrzebne. Liczba czytelników u nas jest małą, niedłatęgą, żebyśmy czytali nie lubili lub nie umieli. Owszem każdy oświadcza wyraźnie że radby *Coś* czytać i prenumerować, ale go żaden dziennik nie zadawania. Ktokolwiek wejdzie do księgarni radby bodaj przez przyzwyczajenie *Coś* kupić, lecz żadna książka nie przypada mu do gustu. Kto jest w kwaśnym humorze, wie dobrze, że *Coś* by mu zdołało pogodę umysłu przywrócić; — chorzy nawet, którym usiłowania medyków nie poradzić nie mogą są najmocniej przekonani, że *Coś* by ich uleczyło. Jednem słowem dla każdego i dla wszystkich, dla bogatych i biednych, dla dorosłych i dla młodego pokolenia, dla pici pięknej i brzydkiej *Coś* jest konieczne, upragnione, pożądane i niezbędne. Ażeby zaspokoić tę ogólną potrzebę, postanowiliśmy wydawać *Coś*, dwutygodnik ilustrowany bez ilustracji. Jak tylko uchwała Rady państwa lub w drodze koncesji ministerjalnej zniesione zostaną opłaty za druki papier przez typografów i producentów bibuły pobierane, dwutygodnik *Coś* rozsyłany będzie bezpłatnie. Nim to jednak nastąpi należy składać prenumeratę półrocznie 75 centów, kwartalnie 40 centów. Cały dochód z przedpłaty obracany będzie na cel pożyteczny dla ogółu, a mianowicie na powiększenie w kraju cyrkulacji piśmiennictwa, której zbawienność dla bogactwa krajowego powszechnie przez ekonomistów uznana została.“ Mówią, że redaktorem tego oryginalnego pisemka jest pan Władysław Sabowski (Wolody Skiba).

Wspominałem w poprzedniej Korespondencji o planie wydania wszystkich powieści J. I. Kraszewskiego. Wydawnictwo to zostało już formalnie zapowiedziane przez pp. A. J. O. Rogosza (literata piszącego pod pseudonimem Ajo), Gubrynowicza (księgarza) i K. Pillera (właściciela drukarni), którzy od dwóch lat wydają znaną *Bibliotekę powieści i romansów zagranicznych*. Wydawcy powieści J. I. Kraszewskiego liczą nie tylko na Galicję lecz także na Poznań i na Warszawę. Z tego powodu prenumerata jest bardzo niska. Rocznie wyjdzie 18 do 20 tomów (180 arkuszy ścisłego druku) a cena prenumeracyjna wynosi wraz z przesyłką pocztową tylko 10 złr, t. j. około 7 rubli. Nadto przyrzeka

wydawnictwo dodawać rocznie 50 arkuszy bez podwyższenia prenumeraty, jeżeli liczba prenumeratorów dojdzie do trzech tysięcy. Gdyby zaś liczba prenumeratorów doszła do sześciu tysięcy, wydawnictwo przyrzekło podwoić bez podwyższenia ceny prenumeracyjnej, ilość corocznie wydawanych tomów. Jest to istotnie bajecznie tanie wydawnictwo, zwłaszcza gdy nakłady wyraźnie zapewniają że wydanie będzie bardzo piękne.

W końcu niech mi będzie wolno wnieść się w wasze lokalne sprawy. *Gazeta Polska* umieściła przed kilku tygodniami korespondencję z Krakowa, w której autor narzeka na upadek literatury w Galicji, a przy końcu ostrzega publiczność waszą, że niektóre tygodniki warszawskie przedrukowują artykuły i powieści z pism galicyjskich. Jest to zarzut zupełnie usprawiedliwiony ale nieco niedokładny, bo dałby się zastosować nie tylko do tygodników, ale i do jednego z warszawskich pism codziennych. *Sapientia* sat! Uzupełniając uwagi krakowskiego korespondenta *Gazety polskiej*, winienem także przestrzedz publiczność, że bardzo często źle bywa poinformowana o sprawach naszych przez lwowskich korespondentów pewnych tygodników warszawskich. Zwłaszcza w sprawie naszego teatru, publiczność warszawska bywa systematycznie w błąd wprowadzona przez korespondentów pewnych pism warszawskich, którzy ze stronnictwem optymistycznym upatrują wielkie zalety tam, gdzie naoczni świadkowie same wady spostrzegli. Jeden z lwowskich korespondentów wnosil raz pod niebiosą pewną lwowską komedję, którą tutaj jednomyślnie i ostro zganiono. Pokazało się że autorem korespondencji był właśnie sam autor tej komedji. Zalecając na teraz tylko trochę więcej przeczności pewnym pismom warszawskim i ich czytelnikom, nie wymieniamy nazw bo *nomina sunt odiosa*, a dla winnych wystarczy i ta pobieżna wzmianka.

Br. Ł.

WIDZENIA

FANTAZJA

JANA TURGENIEWA.

(Dalszy ciąg).

W środku salonu umeblowanego w stylu pompejańskim, podobniejszego do muzeum starożytności niż do tegoczesnego apartamentu, młoda kobieta siedziała przy fortepianie, otoczona greckimi rzezbami, wazonami etruskimi i najradszemi egzotycznymi krzewami. Koberce i meble były przepyszne i bardzo kosztowne, dwie lampy osłonięte kryształowymi globami, oświetlały salon. Piękna nieznajoma pochylała nieco głowę, przymknęła oczy i śpiewała jakąś włoską pieśń. Śpiewała uśmiechnięta; jednak cała jej postać była prawie surowo poważna, a wyraz twarzy zdradzał najzupełniejszy spokój duszy.... Śpiewała uśmiechnięta, a faun długi Praksitelesa, równie jak ta piękna dziewczyna kryjący w głębi łona żród tkliwych namiętności, patrzył na nią, i jak mi się zdawało uśmiechał się także. Stał na swęj marmurowej podstawie wpośród wazonów z prześlicznymi kwiatami, przyskloniony lekką mgłą dymu, wydobywającego się z kadzielnicy stojącej na starożytnym trójnogu. Jakaż to doskonała była piękność!...

Zachwycony jej głosem i wdziękiem, upojony rozkoszną nocą, wzruszony do głębi duszy widokiem takiej młodości, piękności, szczęścia i spokoju, zapomniałem zupełnie o mojej towarzyszącej podróży, zapomniałem że tylko dzięki niepojętej mojej przygodzie, mogłem śledzić tajemnice życia tej tak oddalonej odemnie i niezwykłej istoty....

Chciałem wejść oknem, i przemówić do niej...

Całe ciało moje doznało tak gwałtownego wstrząśnienia jak gdybym się dotknął Lejdejskiej butelki. Pomimo swęj przejrzystości, twarz Alicji w jednej chwili stała się groźna i ponura, a w jej oczach malowała się głęboka złośliwość.

— Oddalmy się stąd co prędzej! zawołała. I po

chwili objął mnie silny podmuch wiatru, uczułem zawrót głowy, słyszałem dziwny jakiś szmer.... Ale teraz już nie okrzyki rzymskich legionów, ale ostatnia wysoka nuta śpiewaczki, długo długo dźwięczała mi w uszach.

Nareszcie zatrzymaliśmy się, usłyszałem inny śpiew, poczułem inne wrażenia a jednak owę wysokią nutę zapomnieć nie mogłem. Dolatywał mnie jakiś, jakby z wielkiej rzeki wychodzący chłód orzeźwiający, poczułem zapach siana, konopi i dym zalatujący, i zamiast owego uroczego śpiewu posłyszałem tony tak wybitnie charakterystyczne, intonacje tak dobrze mi znane, iż zawołałem zaraz: O! to śpiew rosyjski i nuta miejscowi! w tej chwili widziałem wyraźnie wszystko co mnie otaczało.

XV.

Byliśmy nad brzegiem wielkiej rzeki. Na lewo jak okiem sięgnąć, ciągnęła się wielka skoszona łąka i ogromne stogi siana, na prawo, powierzchnia wielkiej wody.

W pobliżu brzegów, długie łodzie kołysały się zwolna na swoich kotwicach, poruszając wyniosłe maszty, jakby palce dające jakieś znaki. Na jednej z tych łodzi, z których dochodziły mnie śpiewy, płonął niewielki ogień, którego odbłyśk rzucał długie pasy światła, migotające na powierzchni rzeki. Światelka takie błyszczały i dalej na rzece i w całej wiosce, ale nie można było oznaczyć w jakiej od nas znajdowały się odległości. Już to gasty nagle już to pojawiały się jasne rzucając odbłyśki. Niezliczona liczba świerczy odzywała się krzykliwie z pośród trawy, tak głośno i zawzięcie, jak żaby pontyjskich bagien. Niebo było zachmurzone i pęsepane, a od czasu do czasu niewidzialne jakieś ptaki żalosne wydawały krzyki.

— Wszak jesteście w Rosji? zapytałem moję przewodniczkę?

— Tak; ta rzeka to Wołga, odpowiedziała.

Lecieliśmy wzdłuż wybrzeża.

— Dla czego przed chwilą uniosłaś mnie tak nagle z owęj rozkosznej krainy? zapytałem, Czy ci się niepodobała, czy też zazdrość powodowała tobą?

Usta Alicji zadrgały, oczy zapalały groźbą, ale w jednej chwili rysy twarzy odzyskały zwykłą nieruchomość. Milczała.

— Chciałbym już wrócić do siebie, rzekłem.

— Czekaj! czekaj! odpowiedziała. Dzisiejsza noc to wielka noc! taka nie prędko powróci. Dziś możesz być obecnym.... Czekaj! czekaj jeszcze chwilę!

I lecieliśmy po nad Wołgą, lotem jaskółki uciekającej przed burzą. Pod nami słyhać było szmer bałwanów; ostry wiatr uderzał nas swem silnem i zimnem skrzydłem. Niezadługo prawy brzeg rzeki znikł w ciemności, i ujrzeliśmy przepaściste skały poprzerzynane wielkimi szczelinami. Zbliżyliśmy się do nich.

— Krzyknij: *Saryn na kitchku!* rzekła mi zciha Alicja.

Jeszcze nie zapomniałem przerażenia w jakie mnie wprawiało ukazanie się rzymskich widm: nadto byłem już znużony i miotany jakimś nieokreślonem smutnem uczuciem... nie miałem więc odwagi ani chęci wymówić słów fatalnych, bo przeczuwałem że wywołają znowu jakieś straszne widziadła, — lecz mimo wolnie usta moje się otworzyły, i jakby przymuszony krzyknąłem: *Saryn na kitchku!* (1)

(d. c. n.)

(1) Te słowa, należące jak się zdaje, do jakiegoś nareczca tatarskiego, były bojowem hasłem piratów z nad Wołgi. Usłyszawszy ten okrzyk, osady statków napadniętych przez tych rozbójników rzucały się na podłogę, gdyż inaczej zostawały w pień wyrżnięte.

Przegląd teatralny.

Poczwarka dramat w pięciu aktach z powieści G. Sand przerobiony przez panią K. Birch — Pfeiffer, tłumaczony z niemieckiego. Przedstawiony pierwszy raz d. 15 kwietnia 1871 r.

Panna Popiel która w rolach naiwnych młodzieńskich panienek, potrafiła tyle uzyskać dla siebie sympatii u publiczności, że się stała nawet jej ulubienicą, pierwszy raz w dramacie Poczwarka wystąpiła w roli większych rozmiarów, skupiając w sobie cały proces rozwoju duchowego, od dzikiej prostoty do pocucia się we własnej godności, i wykazania w całym blasku wszystkich skarbów swej szlachetnej duszy. Zadanie to niemałe, talent musi tu posilkować wielkie wyrobienie sceniczne, i to umiejętnie chwytanie najsłabszych chwil dramatycznych nie pomijając nawet drobnostek, które w całości uwydatniając brząsk budzącej się myśli aż do jej zupełnego rozkwitu, dają obraz pełny w niczem nieubliżający prawdzie.

Powieść z której dramat został ułożony, należy do rzędu najpiękniejszych prac G. Sand. Z pałaców sterzących dumnie, jak powiada poeta, znakomita ta autorka weszła do chat wieśniaczych, i z najniższej warstwy mieszkańców wioski, wydobyła postać dziką, nieokresaną, zaniedbaną, obrzuconą ogólną pogardą, wstrętną swoją powierzchownością, i słowem młodą czarownicę, Poczwarkę, aby ją zrobić bohaterką swego utworu i wykazać, że nawet tak mali w ustroju społecznego porządku, mają serca czujące i dusze wielkie, z jakimi wśród całego świata spotkać się niełatwo.

Poczwarka chowa się przy babce, matce Fadet uważanej przez wszystkich za czarownicę. Wnuczka jej Fanchon owa Poczwarka, jest to młoda dziewczyna, jak dzika koza, obdarta, brudna, rozczochrana, gardząca wszystkimi jak nią pogardzono, i nienawidząca wszystkich jak jej nienawidzą; oprócz babki jedyną swą opiekunką. Żyjąc jak zwierzątko w łachmanach i pogardzie, nie zajęta niczem i nie umiająca nawet myśleć i zastanawiać się, korzystając z przyrzeczenia danego jej przez młodego wieśniaka Landry za uratowanie mu życia, iż spełni wszystko o co go poprosi, w nagrodę swego czynu, aby został jej tancerzem przez całą zabawę na pobliskim kiermaszu. Landry niby kochający się w Magdalenie córce bogatego wieśniaka, związany przyrzeczeniem lubo z niechęcią przyrzeka spełnić jej żądanie. Wprawdzie czuje całą śmieszność na jaką się naraża, drwiny, szykany jakich mu zapewne szczerze nie będą wszyscy zobaczywszy go w towarzystwie tak upośledzonej istoty, ale słowo się rzekło, a przytem Poczwarka ma piękne oczy, jest zgrabną, zwinną, lekką i mogłaby być kochaną, gdyby nie to co ludzie na to powiedzą?

Poczwarka jednak o tem nie wie i ani myśli, żądanie jej tańca i zabawy z ładnym chłopcem, wypływa jedynie z chęci dokuczenia mu, a troszkę z ciekawości młodej duszy pierwszy raz w życiu rwać się do świata. Jest to więc pierwsza chwila przebudzenia się myśli, pierwsze światło które duch okniejny spogląda ze wstrętem na okrywające ją łachmany, i łaknie czegoś nieznanego, niepojętego....

Wystrojona o ile można najparadniej, Poczwarka stawia się na umówionem miejscu, Landry dotrzymuje słowa, gromada wieśniacza dziwi się, dziewczęta zazdroszczą, Magdalena gniewa się, ztąd swary, niezadowolenie, wyśmiewanie stroju Poczwarki, jej ruchów niezgrabnych, natrząsanie się z jej prostoty i nieokresania. Poczwarka broni się, wzgardę wzgardą płaci, a gdy rozgniewane grono wieśniacze ma już wystąpić z czynną obelgą, Landry zjawia się z obroną i zasłania ją przed pięściami ku niej wyciągniętymi. Biedna Poczwarka nie może wyjść z podziwienia: więc jest ktoś taki co nie tylko umie dotrzymać danego jej przyrzeczenia, ale nawet nie waha się stanąć w jej obronie? I któż nim jest? Landry syn bogatego wieśniaka, narzeczony pięknej i równie bogatej Magdaleny, ów Landry co dniami wprzód spoglądał na nią jakoś inaczej jak wszyscy. Ujęta taką szlachetnością, Poczwarka zadowolona jedynym tańcem, zwalnia młodzieńca od następnych i wyznaje, że zmuszenie go

do tańczenia z sobą zabawy, wypłynęło jedynie z chęci dokuczenia mu, wystawienia na pośmiewisko, czego mocno żałuje. Jest to drugi moment dramatyczny wielkiej wagi; w pierwszym ciekawość w tym już miłość zakochała do jej duszy i wrzecznej refleksji biednego dziewczęcia przystroiła się w postać, dla której zbliżenie ku niej niemal by hańbą przyniosło. Znalezienie się tak szlachetne dziewczyny, oddziaływało silnie na młodzieńca. W spotkaniu z nią przychacie stariej czarownicy, Landry wyznaje jej niemal swą miłość, Poczwarka śmieje się i cieszy, raduje i smuci zarazem, bo poznaje nowe zupełnie uczucie a nie wierzy słowom ukochanego. Landry na zadatek miłości domaga się pocałunku, Poczwarka odmawia.

Nie! powiada, na kiermaszu po ukończeniu tańca, w obec zgromadzonych ludzi w dzień jasny nie pocałowałeś mnie choć tak chce zwyczaj przez wszystkich, chłopców zachowywany, a tu przy zmierzchu domagasz się całusa gdy mnie dobrze widzieć nie możesz.... Nie! — nie pocałujesz mnie. Uciekaj ot lepij, bo ludzie nadechodzą, mogliby Bóg wie co pomysleć zobaczywszy cię samego ze mną. Uciekaj, uciekaj!

Landry przestroję wypełnia i ucieka, a Poczwarka rzuca sobie straszne pytanie: więc tak nędzną jestem istotą że tylko gardzić mną można? Więc nawet on lęka się być posądzonym o życzliwość dla mnie?

Jest to zatem trzecia chwila wielce dramatyczna, miłość już zupełnie rozwinięta występuje w całej swej pełni, Poczwarka kocha z całą namiętnością rozbudzonego uczucia, ale i czuje zarazem, że niegodną jest serca ukochanego przez siebie młodzieńca, że to jest niepodobieństwem aby przez niego równie ukochaną została. Postanawia więc miłość swą umorzyć, zamknąć na dnie serca, pocieszać się jej wspomnieniem, aby tylko ukochanego ustrzedz od wszelkich następstw przywiązania do tak nędznej jak ona istoty. Dzikość jej dawniejsza w której wzrosła i wychowała się wstręt w niej teraz obudza, łachmany gniewają, odłączenie od ludzi dziwi, żąda strojów, wdzięku, urody, posuwa się nawet do robienia wymówek babce swojej że ją w tak wielkiem utrzymuje opuszczeniu, słowem kocha pierwszy raz w życiu całą potęgą serca, co kochających się na skrzydłach poetycznego zachwyty, unosi w krainy ziemskiej miłości. W tem błakaniu się w czarodziejskich wyżynach, rzeczywistość ciągle ją spycha ku ziemi. Poczwarka chce cierpieć ale sama a ocalić Landrego, postanawia zatem rozgniewaną Magdalenę pogodzić z narzeczonym a gdy to się jej nie udaje, gdy wreszcie przekonywa się że miłość Landrego jest szczerą, że ojciec jego a nawet wieś cała oburzona prześladowe zakochanego, idzie do miasta na służbę zmuszając wprzód młodzieńca do przyrzeczenia, że jej przez rok cały nie będzie się starał zobaczyć. Po upływie tego czasu, powiada, jeżeli tu w tem samym miejscu powiesz znowu że mnie kochasz, będę twoją i wszystko przeniosę aby twoją zostać. Próba wypada szczęśliwie. Landry pozostaje wierzonym, i zrozpaczony uporem ojca odrzuca danie za siebie zastępcy do wojska. W tem po całorocznej nieobecności zjawia się Fanchon, ale zmieniona do niepoznania. Z dawniej Poczwarki opadła skorupa dzikości a z pod tej wstrętnej powłoki wyłoniła się skromna, potulna dziewczeczka, która wreszcie ujmuje rodziców i zostaje ich synową. Miłość zatem cudu tego dokazała, a miłość to nie musiała być zwyczajną, przymioty duszy niepospolite, skoro wspierając się wzajemnie potrafiły ją skłonić i do poświęcenia dla szczęścia ukochanego z zaparciem się własnego, i do tak korzystnej siebie we wszystkim przemiany.

Rolę Poczwarki przedstawiła panna Popiel. W pierwszych scenach była nią w całej rzeczywistości: dziką, nieokresaną, brutalną w poruszeniach, nienawidzącą, złośliwą, ale w dalszych cechujących się rozbudzeniem nowych myśli i nieznaną jej dotąd miłości, zdolna ta artystka niedość uwydatniła wszystkie chwile dramatyczne powyżej wymienione. Brak w nich było prawdziwego uczucia, namiętnych poruszeń serca, żalu, boleści, uwydatnienia walki wewnętrznej, owego procesu myśli co ją z dzikości wiodł do człowieczeństwa. Jakiś dziwny chłód wiał ze słów i wszystkich poruszeń artystki, a prze-

nosząc się na widzów nie wywoływał współczucia, ale pewną obojętność sprzeczną z rolą którą przedstawiała. Charakterystyka jednak była wyborna, począwszy od rozczochranych włosów i okrywających ją łachmanów; od przystroju na kiermasz w szaty tak rzadko przez nią używane, aż do skromnej żałobnej sukienki przywdzianej po śmierci babki. W ostatniej także scenie, proszącej ojca Landrego o opiekę nad sobą, artystka zamało rzecznie prośbę swą przedstawiła. Nie było w niej widać boleści sierociej, smutku ze wspomnień przeszłości i trwogi o przyszłość swoją, jeżeli znowu odepchniętą i pogardzoną zostanie. Pomimo tych usterek, które przez szacunek dla talentu panny Popiel bez żadnej ogródki wymieniamy, publiczność przyjęła ją z wielkim entuzjazmem wywołując niemal po każdej scenie i sypiąc oklaski szczerego uwielbienia. Sympatja ta niechże będzie zachętą dla niej, do staranniejszego wnikania w ducha roli, badania wszystkich jej odcieni i niepomijania niczego co się do jej uwydatnienia, a tem samem i do podniesienia przyczynia. Kto umiał być już taką Poczwarką jaką nam panna Popiel przedstawiła, potrafi być i taką, jakiej rzeczywistość dramat wymaga. Artystka posiada wszystkie warunki po temu, śmiałość, swobodę ruchów, umiejętną charakterystykę, pamięć o jej utrzymaniu, a przedewszystkiem powabną powierzchowność, łatwo mogącą wywołać współczucie na niesprawiedliwość losu, co ją w pogardzoną przemienił Poczwarkę. Więcej tylko uczucia, więcej szamotania się boleśnego, więcej cokolwiek ognia a mniej chłodu, a stanie się to czego istotne warunki dramatu wymagają. Oby słowa nasze pełne życzliwości nie pały tylko na opokę.

Pan Tatarkiewicz Jan w roli Landrego zakochanego w Poczwarkę, starał się być pełnym zapału kochankiem, ale więcej w tem wszystkim było przymusu jak prawdziwego uczucia. Głos podniesiony, krzyk niby namiętny nie są jeszcze jego oznaką: boleść prawdziwa bywa głośniejsza czasami, ale znać w niej wtenczas że to serce tak przemawia nie gardło ani piersi. U pana Tatarkiewicza serce miledzało, przemawiały tylko piersi, nie było więc prawdy tylko sztuczność.

Pani Palińska w roli matki Fadet babki Poczwarki, charakterystyką swą obudzała wstręt usprawiedliwiający zupełnie miano czarownicy przez wioskę jej nadaną. Zdaje się nam jednak, że lekki odcień podniosłości tej roli przez umniejszenie tego wstrętu, byłby tu we właściwym miejscu. Matka Fadet choć złamana latami, ale to kobieta rozsądkiem o wiele wyższą nad tłum ją otaczający. Niegdyś kochała stryja Landrego i wzajemnie przez niego kochana, uległszy przesadowi który im przeszkodził do małżeńskiego związku, choć za innego wyszła za mąż, pamięć miłości nieszczęśliwej zachowała do późnej starości. Ta pamięć i górujący w niej rozsądek, powinny być w postaci tej przybrać pewne plastyczne kształty, coby ją uchroniły od zbyt niekorzystnego wpływu na widzów. Zachowanie tego zdaje nam się że byłoby zgodnem z warunkami dramatu, niektóre sytuacje sceniczne potęgowałyby się w swem znaczeniu, a matka Fadet wyszłaby z nich godną współczucia i litości.

Pan Grzywiński w roli ojca Landrego a pani Mazurowska w roli jego matki byli zupełnie na swoim miejscu. Pan Szymanowski w roli brata Landrego rozmieszał widzów pragnących we wszystkim znaleźć powód do wesołości, gdyby jednak mniej się o to starał, mniej wyglądał na gapia i mazgaja, a więcej usiłował uwydatnić miłość braterską, jaka go ożywia w całej podniosłości tego pięknego uczucia, byłby rolą swą o wiele upiękniał.

Na tydzień coś przedtem przedstawioną także była raz pierwszy komedyjka ze śpiewami p. t. Grzeszki babuni w której panna Popiel występowała w roli młodzieńczej panienki, pani Bakałowiczowa w roli młodego chłopca, a pani Niewiarowska w roli ich babki zachowującej wspomnienie miłości z lat minionych wiosny. Jest to drobnostka, ale podniesiona, wyborna grą artystek, zgrabnymi śpiewkami i udatną wielce muzyką, bawi, rozśmiesza i co najważniejsza iż bez sromu wysłuchaną być może.

Nie dajemy o komedyjce tej obszerniejszego rozbiór, słów tych kilka aż nadto dostatecznie wartość jej określają.

J. K. G.

PAMIĘTNIK WACŁAWY

ZE WSPOMNIENIEM MŁODEJ PANNY

ulożony przez

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

Zenia obie ręce do uszu podniosła. Moja Emilko! zawołała już ty mi dość nagadałaś o tych swoich kochaniach i niekochaniach, straconych marzeniach, przyszłych nieszczęściach i tym podobnych rzeczach o których więcej słyszeć nie chcę. Daj mi już raz święty pokój z tym swoim: „ależ ty go nie kochasz!” Słyszałaś przecie jak mama mówiła że: l'amour viendra après le mariage! Wprawdzie, i między nami mówiąc, nie bardzo ja w to wierzę, aby francuzkie to przysłowie sprawdziło się na mnie, i abym miała po ślubie zapłonąć gorącą miłością dla mego przyszłego małżonka. Ale stało się! rzecz zdecydowana! nie kocham wprawdzie p. Michała, ale nie mam też do niego antypacji i uważam go za dobrego i poczciwego człowieka. Przytem, zostając jego żoną otrzymam pewność, że nie będę już nigdy starą panną, co przy moich problematycznych wdziękach i problematyczniejszym posagu było bardzo możebnem. Jako mężatka będę miała niezależną w świecie pozycję, swobodę rozporządzenia się wszystkiem co będzie do mnie należało i mnóstwo przyjemności, rozrywek, zabaw, których p. Michał z pewnością mi dostarczy, bo kocha mnie i jest dobry i bogaty...

— A serce? ozwała się zwolna Emilka.

— A obowiązki? powtórzyła za nią Helenka.

Zenia znowu przycisnęła uszy rękami.

— I znowu te wielkie wyrazy! zawołała. I kiedyż dacie mi już święty z nimi pokój? Serce? wielka mi rzecz! Jeżeli chcecie wiedzieć, to teraz nie a nie nie czuję, że mam w sobie to niespokojne narzędzie kochania...

— A jak poczujeś że je masz, a będzie już po ślubie? zapytała Emilka.

— Alors nous verrons! z komiczną powagą odrzekła Zenia.

To rzekłszy pożegnała się ze mną i z Helenką i pociągnęła z sobą siostrę mówiąc, że mają jeszcze do zrobienia przed obiadem kilka sprawunków. Wkrótce po nich i Helenka mię opuściła.

Gdy zostałam sama długo myślałam o Zeni i jej dziwnem dla mnie usposobieniu. Dotąd wyraz narzeczona, przedstawiał mi zawsze dziewicę całą przejętą głębokiem a świętem wzruszeniem, więcej zamyśloną niż wesołą, z trwogą i nadzieją, zarazem marzącą o tej nieznannej przyszłości, odsłaniającej przed nią rożek swój tajemniczej zasłony, nie mogącą ani na dzień jeden bez balu rozstać się z wybranym swego serca. Tak wyobrażałam sobie zwykle narzeczoną. I otóż ujrzałam dziewicę która przed dwoma dniami tem mianem się przyoblekła, i jakże ujrzałam ją różną od narzeczonej co się zjawiała w mej wyobraźni! Pośród aksamitów, koronek i szalów mających składać pyszną wyprawę, fruwała ona lekko jak motyl serca nie czując w piersi, do przy-

szłości mówiąc lekkomyślnie: Alors nous verrons!

Narzeczony jej o kilkadziesiąt mil oddalony skupował także powozy, konie, liberję a pożegnawszy się w tym dniu uroczystym gdy ona mu powiedziała: będę twoją! zobaczą się dopiero z sobą aż w wilią ślubu!... I nie tęskno jej za nim i ze śmiechem mówi ona: „a na cóż mi on potrzebny?”

Nie! zawołałam w myśli, jabym nie taką była narzeczoną! Jabym z wybranym moim długie, długie spędzać musiała godziny, aby ducha jego tak ściśle, tak ściśle ze swoim zespolić, iżby już byli jak bracia rodzeni. Jabym narzeczonemu memu tyle, tyle rzeczy do opowiedzenia miała i pragnęłabym słuchać go w cichych minutach zmroku, jakby mi mówił o wszystkim co żyje na niebie i ziemi, o ludzkości ogromnej, kraju kochanym, czynach i cnotach wielkich i o sobie i o tem jak mię kocha! A jabym pytała jego jaką będzie ta nasza przyszłość wspólna, ta droga na którą on mię wprowadzi? Czy na wzór ptaków co z rozpiętymi skrzydłami kołyszą się pod niebem wysokim, dusze nasze nierozłączone z sobą uniosą się nad poziom pospolicności, górnych wyżyn cnot i czynów dosięgną? Czy serca nasze pod blaskiem i ciepłem uczucia, wiecznie kwitnąć będą miłością i poezją, jak kwiaty purpura i bielą kwitną pod słońca promieniem? I pytałabym go jeszcze, czy bardzo kocha mię, czy lubi kolor moich włosów, czy w oczach moich odgaduje mą miłość? I prosiłabym aby spojrzął na mnie a gdyby już to uczynił, czytałabym w jego oczach przyszłość mego życia, szczęście mego serca, spełnienie moich pragnień, wiarę mego umysłu... I gdzieżby mi już potem wszystkiem było myśleć o wyprawie! Niech by już sobie o niej myślał kto chciał, jabym myślała o nim i o przyszłości.

Tak marzyłam długo, gdy nagle ocknęłam się. Z marzeń moich obudziła mię myśl, że może nigdy dzieć się tak ze mną nie będzie, że może nigdy niczyja nie będę narzeczoną!

Wszak dwa razy już w życiu przekonałam się, że mogę kochać takiego człowieka, w którego wielkość, zacność i rozum bez granic uwierzę. Z upadkiem wiary tej więdnie we mnie kwiat uczucia. Mogę tylko ukochać człowieka z piękną duszą, dla czego tak jest? Wie o tem chyba jeden Bóg, który stworzył moją duszę. A takiego człowieka czy spotkam kiedy na drodze mojej? Ludzie tacy to białe kruki, mówi Helenka.

A jeszcze czy którykolwiek z takich ludzi zechce zbliżyć się do mnie i będzie mógł mnie ukochać? Czy kaźden z nich nie weźmie mię za lalkę ustrojona, za próżną i wietrzną istotę kochającą tylko zabawy i błyskotki i upędzającą się za tem co się zowie w świecie świetnym marjażem? I czy kaźdy z nich wzięwszy mię za taką nie ominie z lekceważeniem, co najwięcej z litością? Wszak i Helenka mówi że tak zwykle bywa na świecie.

Można więc przejść życie całe nie spotkawszy dusz bratnich lub rozminawszy się z niemi na rozstajnych drogach, zapoznając lub będąc zapoznaną.

Więc może kiedy, po latach wielu, z pooranem czołem i przygasłemi oczami usiądę jak babka Ludgarda przed oknem o widniejącym kawałku nieba, i patrzeć będę jak w klatce swęj trzepoczą ptaszki niewolne, a drżące od niewypłakanęj tęsknoty usta moje, wyszepeczą nad brzegiem mogiły: postarza-

łam, życie przeżyłam sama jedna, nikt mię nigdy nie kochał!...

LIV.

Karnawał wrzał w całej sile, rozmaite zabawy, wieczory, teatru, koncerty, obiady i kuligi następowały po sobie nieprzerwanym szeregiem, ale ja nie odzyskałam już uprzedniej mej wesołości, dzieciniego upojenia i zachwycenia, jakie mię wprzód tak często ogarniało. Bawiłam się bo nie wiedziałam co bym innego czynić mogła, zostając pośród ludzi którzy także wciąż się bawili. Zresztą, na zabawy te wiodła mię jeszcze matka moja coraz smutniejsza, z coraz częstszą chmurą na czole, niemniej jednak z nadzieją dośięgnięcia swego celu to jest: świetnego wydania mię za mąż. Bawiłam się więc, ale tylko pozornie, w duszy zaś częściej bywałam smutna niż wesoła, a wszędzie i zawsze wśród balowego blasku, przy dźwiękach koncertowej orkiestry w loży teatralnej i w salonie matki mej napełnionym wizytującymi nas osobami, zawsze nieustannie czułam, że mi braknie czegoś, czegoś niezbędnie potrzebnego mi do życia. Chwilami poczuwałam okropną pustkę w piersi, przestawałam wedle wyrażenia Zeni: „czuć że mam serce w sobie” zdrowie moje zaczęło chwiać się, czułam się fizycznie słabszą niż dawniej, doświadczałam częstszych bólów głowy, i ogarniała mię drażliwość nerwowa, że wystarczało silniej trochę podniesionego głosu, niespodzianego stuknięcia lub kilku smutnych akordów muzycznych aby wywołać z mej piersi mimowolny krzyk przestachu albo pobudzić mię do płaczu.

W całej istocie mojej czułam rozstrój fizyczny i moralny, stopniowe opadanie z sił, niezgodę z samą sobą i z tem co mię otaczało.

Nieraz po bezsennęj wśród zabawy i tańca spędzonej nocy, budziłam się zrana ze snów przerywanych i niespokojnych z ciężką głową, zmęczona i patrzyłam jak za oknem śnieg białymi płatami spadał na ziemię z białych obłoków, i pomimo że termometr wskazywał w pokoju 16 stopni ciepła, czułam nawskroś przeszywające mię zimno. Śniegowe szmaty zwolna i cicho opuszczały się ku ziemi, martwą, jednotonną bielą pokrywając dachy i ulice miasta, a mnie zdejmowała niezmierna tęsknota za wiosną, zielenią, ciepłem, rojami motyli. I zdawało mi się że nigdy już ziemia nie wydobędzie się z pod swego zimnego, grobowego całunu, że nigdy natura nie odkwitnie nowem życiem, że wiosna nigdy nie wróci... Teraz rozumiem, że nie do tój to wiosny co stroi pola w kwiaty i gaje w motyle tęskniłam, ale do tój co uleciała z mojej własnej piersi, razem z wiarą moją dziecięcą, z niespełnionem marzeniem mego serca...

Niekiedy niecierpliwą ręką rozchylałam firankę zasłaniającą okno i patrzyłam w dół na ulicę, kędy roił się tłum ludzi czynnych, spieszących się za trudnionych dziennymi sprawami. Porywała mię wówczas chęć zejścia tam na dół, rzucenia się między tych ludzi, odetchnięcia szeroko powietrzem wolnem od woni kadzideł i perfum, poszukania na twarzach nieznanych tego czego na tych co mię otaczały dojrzeć nie mogłam. Wkładałam futro i kapelusz i zbiegałam ze wschodów, ale, niestety, za mną zawsze i nieodmiennie stapał wielkiej statury lokaj, w długim błyszczącym guzami surducie, z olbrzymim futrzanym kołnierzem na barkach, w wysokim

kapeluszu przepasanym błyszczącym galonem. Niecierpliwił mi ten wiekiasty Sanszo Panszo przywiązany do moich kroków: pytałam siebie, na co mi potrzebna ta eskorta paradna odejmująca mi swobodę i zwracająca na mnie oczy przechodniów? Idąc ulicą słyszałam nieustannie za sobą stapania jego niby miarowy chód więziennego stróża, i czułam ciągle unoszący się za mną w powietrzu wysoki kapelusz przepasany srebrnym galonem. Przychodziło mi na myśl, że ten paradny i błyszczący szychem mój dozorca naśmiewa się ze mnie w duchu, widząc jak bez celu przechodzę z ulicy w ulicę albo co gorzej, złorzeczy mi że wyrwawszy go ze słodkiego przedpokoju *far-niente*, zadaje mu fatywę bez żadnego wyraźnego powodu. Kępował on nie tylko moje kroki ale i myśli nieustanną troskliwością i uniżonością do jakiejś czuły obowiązanym. Gdy rozmijałam się z kilku razem ludźmi, wysuwał z za mnie długie swe ramię i torował mi drogę nielitościwie nieraz usuwając, odpychając odemnie tych, którzy z ubrania wydawali mu się pospółstwem.

Kiedy zstępowałam z chodnika, pośpiesznie poddawał mi ramię abym się nie poślizgnęła; kiedy chciałam skrócić na jaką boczną mniejszą ulicę, przestrzegał mi że znajdę ślizkie lub błotniste przejście, i że tamtędy sam gmin tylko zwykłe chodzi.

Gniewała mnie i niecierpliwiła ta uciążliwa asystencja, z powodu jej wracałam do domu prędzej niż chciałam, nie orzeźwiona swobodnym ruchem, nie pocieszona żadnym z tych widoków, dla których właśnie pragnęłam przechadzki, ale nazajutrz jeśli znowu wyjść na miasto chciałam, lokaj znowu siedział za mną. Było to konieczne i nieuniknione bo tak kazał zwyczaj, bo w kodeksie światowych prawideł stało wyraźnie zapisane prawo: że panna dobrze wychowana, nie ma wychodzić pieszo na miasto bez towarzystwa starszych osób, a jeśli i czyni to w ostrożności, to już nieodmiennie powinna mieć za sobą lokaja stającego za nią miarowym krokiem i ubranego w wysoki kapelusz z galonem. Inaczej grozi jej niebezpieczeństwo popadnięcia pod wyrok kodeksu karnego, to jest podejrzenia i obmów świata.

Wracałam też do domu zmęczona fizycznie, ale moralnie nie pocieszona i nie wzmocniona. Twarz moja za każdym razem była bledszą a na ustach bładził coraz wyraźniejszy uśmiech ironji. Chłodne rozczarowanie coraz głębiej wnikało w moje wnętrza, mara zwątpienia coraz szerzej ogarniała mnie swemi lodowatymi ramionami.

A gdy z tą bladłością na twarzy, z tym chłodnym ironicznym uśmiechem na ustach, a z okiem zwilżonym mimowolną żalnością wchodziłam do salonów, jeden już tylko rozlegał się okrzyk pochwały i admiracji. Mówiono że staję się coraz piękniejszą, że jestem niepospolitą, interesującą, że mam w sobie coś zagadkowego i tajemniczego co pociąga i przyciąga do mnie oczy. Ubiór mój nawet i sposób tańczenia zwracał powszechną uwagę i wyróżniał się od tła ogólnego. Tańczyłam bowiem bez zapału, bez chęci prawie, bez uprzedniej swobody myśli i weselości co wlewało w moje ruchy pewne zaniechanie, pewną powolność i powagę, a wszyscy znajdowali w tem szczyt elegancji i wdzięku. Do stroju też zaczęłam coraz częściej używać ciemnych kolorów, jasne i krzyjące barwy raziły mnie sprzecznnością z wewnętrznym mem usposobieniem, coraz mniej wkładałam na siebie błyskotek i kwiatów a natomiast coraz fantastyczniej układałam sobie włosy, coraz niepospolitsze i zamiast do ogólnej mody do mych własnych gustów zastosowane wynajdywałam kroje sukien, mimowiednie może szukając

w posagowym układzie włosów lub malowniczych fałdach materji, tej szlachetności i powagi, której pragnęłam i szukałam po świecie.

Na zabawach roje młodych ludzi otaczały mnie ciągle.

Byłam zasypywana adoracjami, pochwałami, komplementami, bukietami, ognistymi wejrzeniami i wszelkiego rodzaju hołdami. Wóz mój tryumfalny liczył najwięcej zaprzężonych doń niewolników, a nie brakło też i konkurentów na serjo. Smutny stan majątkowy mojej matki w części tylko i to nie ogólnie był znanym. Matka moja bowiem z niezmierną zręcznością umiała łączyć i naprawiać tę złocistą szatę świetnej pozycji, która z niej opadała i trzeba było bardzo wprawnego oka, aby pod otaczającym nas zbytkiem i wykwinem dojrzeć bliską a nieuchronną ruinę. Zajście też nasze i poróżnienie się z babką Hortensją nie wszystkim wiadome „utonęło w zapomnieniu fali“ nikt nie wiedział o tem w jak przykry i z trudnością dający się naprawić sposób, stosunki z nią nasze zostały zerwane a tylko głoszone ogólnie, że mam babkę bezdzietną i bardzo bogatą, po której niewątpliwie otrzymam znaczny spadek. Uchodziłam więc nie tylko za piękną i powabną ale i za bogatą pannę. A cóż dziwnego że ten ostatni warunek w połączeniu z pierwszemi skłonił nawet najślawniejszego w towarzystwie naszym bałamuta, owego pogromcę serc którego hołdy odebrałam naiwnej parafrance Józi, młodego przystojnego i modnego p. Aleksandra, do wyrażenia przed moją matką najgorętszej o moją rękę prośby. Matka zakomunikowała mi wyrazy p. Aleksandra pytając z pewnym niepokojem: czy i ten jeszcze marjaż odrzuci jak inne? Prosiłam ją aby w moim imieniu odmówiła panu Aleksandrowi. Była to znowu sposobność zrobienia dobrej partji, ale ja jej przyjąć nie mogłam.

Nie kochałam — nie wierzyłam.

Matka moja nie sprzeciwiała się memu postanowieniu, nie nalegała na mnie ani jednym słowem, tylko posławszy panu Aleksandrowi listowną odmowną odpowiedź przez kilka dni była bardzo smutną.

Z panem Lubomirem stosunki moje skończyły się w sposób bardzo prosty. Kilka razy usłyszawszy w przedpokoju naszym fatalne dla wszystkich konkurentów tej ziemi wyrazy: „Panie nie przyjmują“ starał się jeszcze przybliżyć do mnie w towarzystwach. Ale spotkał we mnie tak chłodną obojętność, tak lodowatą ironję, że widząc iż dalsze próby na nieby się nie przydały, zaczął trzymać się w ceremonialnej odemnie odległości i tylko gęstsza jeszcze orzucił się zasłoną melancholji i głośniejsze wypowiadał tirady o niestałości kobiet, braku prawdziwej miłości w świecie i t. d. Utrzymywano powszechnie że dostał odemnie harbuza, i znajdowały się nawet litościwe dusze co się nad nim użalały, i inne gruntowniej myślące co miały mi za złe, iż odrzuciłam sposobność świetnego marjażu bez żadnego wyraźnego powodu. Ja zaś czułam się dla niego tak obojętną jak gdybym nigdy ani iskry sympatji ku niemu nie miała. I owszem, gdy zasłona złudzenia spadła z mych oczów, górnio brzmiące frazesy pana Lubomira śmiech we mnie obudzały, i patrzyłam na niego jak na komedjanta, który wedle słów Helenki, ustroił się w płaszcz Almawiwy i w spojrzenia Dafnisów, aby pokryć istotną swą nicość i sprawiać efekty powtarzaniem bezmyślnem zdań zasłyszanych na bruku paryzkim. Oprócz mnie znajdowała się w towarzystwie naszym inna jeszcze młoda zmieniona osoba. Była to Zosia.

Po bolesnem przejściu jakiego byłam świadkiem, straciła ona całkiem żywość układu i świeżość twarzy jakie ją cechowały wprzód. Wydawała się zu-

pełnie spokojną, ale biernym spokojem apatji i przygnębienia. Zwykła jej łagodność przybrała pozór nieledwie niedołężności, zdawało się że każdy mógłby kierować nią według woli tak wyglądała bezsilnie jakby strwożona. Spostrzegłam że unikała mego towarzystwa, przestała często mię odwiedzać i w ogóle wyraźny żal ku mnie czuła za to że usunęłam od siebie jej brata.

Do tego brata lgnęła więcej niż kiedy. Na podobieństwo spłoszonej ptaszyny tuliła się do niego, zawieszała się na jego ramieniu, ścisnęła go oczami jakby w nim jednym widząc pociechę i tarzę opiekunczą. Dziwiło mię to zrazu ale wkrótce dowiedziałam się od innych towarzyszek wtajemniczonych w domowe życie Zosi, że od czasu oświadczenia o nią pana Władystawa, wujostwo jej mianowicie wujenka byli dla niej bardzo surowi, więcej niż kiedy kępowali jej kroki, obawiając się aby nie popełniła megaliansu, a pan Lubomir pocieszał ją wśród tych przykrości domowych, bronił od napaści i surowych napomnień opiekunów i przez to posiadał nad nią wpływ większy jeszcze jak wprzód. Mówiono mi także, iż pan Lubomir zręcznie ułożoną bajką przekonał Zosię o winie jej ukochanego, i o tem że on jej nie wart. Długo podobno nie chciała mu wierzyć, ale brat był z nią ciągle a kochanek oddał się i powodowany obrażoną dumą lub troskliwością o jej spokój, nie szukał nawet więcej sposobu zbliżenia się: — biada więc nieobecny. — Zosia kochająca brata, uwielbiając go całą duszą, złudzona jego pięknymi słowami, wdzięczna za czułość braterską jaką jej okazywał uwierzyła mu, pożegnała czarowny obraz pierwszej miłości i słaba, strwożona jak dziecko, zmęczona walką większą nad jej dziecięce siły, poddała się całkiem kierunkowi tego, który tyle łez wycisnął z jej oczu, który jak pokazała przyszłość miał tym postępkiem swym zwichnąć całe jej życie. Zenia była cała pogrążona w kupowaniu wyprawy, Emilka pomagała jej całymi siłami w wielkim dziele, od którego zdawałoby się że cały przyszły los młodej narzeczonej zależał. Raz przyjechawszy do nich znalazłam je obie literalnie zarzucone stosami towarów rozłożonych po stołach, kanapach i dywanach. Zenia stała przed zwierciadłem przymierzając suknię przed chwilą przyniesioną przez krawca, który stał o kilka kroków i z zamilowaniem przyglądał się dziełu rąk swoich. Była to pyszna suknia z aksamitu, niezmiernie długa, ozdobiona koronkami delikatności pajęczej. Ujrawszy w zwierciadle mnie wchodzącą, Zenia odwróciła się i zawołała: patrz Wacławo! co za przepyszna suknia! Pan Ryger (tak się nazywał najmłodniejszy nasz krawiec) wybornie mi ją zrobił. Co za gatunek aksamitu! jaki kolor! jaka długość imponująca! a koronki? spodziewam się że nie masz im nie do zarzucenia!

Mówiąc to wszystko Zenia przeszła się parę razy po pokoju, nadając swym krokom pewną powagę tak jakby wyobrażała sobie, że jest już mężatką i oddaje pierwsze ceremonialne wizyty w swą kosztowną i wspaniałą suknię.

— Dodajcie do tego, mówiła stojąc naprzeciw mnie i Emilji, dodajcie do tego piękny złoty lub brylantowy garnitur, parę pasowych lub białych kamelji we włosach, a przyznacie że będzie to toaleta świetna, i że gdyby najbrzydsza w świecie istota ją włożyła, dodałaby jej ona powagi i wdzięków. Łącząc czyn do wyrazów, ze zwykłą sobie żywością odsunęła szufladę toalety i wydostawszy parę pudełek spięła pod szyją koronkę kosztowną złotą broszą, także koleczki włożyła w uszy, rękę ustroiła bransoletą błyszczącą rubinami, a we włosy wpięła dwie pasowe kamelje. Poczem stanęła na środku pokoju z błyszczącymi od radości oczami, z podniesioną głową: ze wzmożonym rumieńcem na twarzy i tryum-

fujaco patrzyła na nas i na admirującego ją wyrażnie krawca. Nie wiem czemu nie podzielałam wcale ukontentowania Zeni, przeciwnie, smutne jakieś uczucie spadło mi na serce i znowu pomyślałam w głębi ducha: o, ja nie taką byłabym narzeczoną! Zenia spostrzegła znać że strojem swym nie wzbudza we mnie zachwytu, i przeniknęła myśl moją bo bystro na mnie spojrziała i posmutniała w mgnieniu oka.

Zaczęła pośpiesznie zdejmować z siebie broszkę, bransoletę i kwiaty, a zwracając się do mnie i do Emilki zarazem rzekła:

— Moje drogie! widzę że macie mię za próżną i lekkomyślną istotę! Otóż mylicie się! lubię piękny strój bo wyobrażam sobie, że stoję się w nim poetyczniejszą i mniej pospolitą niż w zwykłym codziennym ubraniu. Nie uwierzcie jak lubię marzyć o tem, że gdy ubrana w powłóczęstą aksamitną suknię, z białym kwiatem niedbale wpiętym we włosy wejść do salonu błąda, jeśli to ze mną może być kiedykolwiek, smutna trochę, zamyślona, wszyscy ujrzą we mnie żyjący portret jednej z tych zajmujących, idealnych, tajemniczych heroin romansów.

— Otóż i wyjeżdżają na scenę heroiny roman-sów! zawołała ze śmiechem Emilka.

— Tak, z komicznym zapałem odparła Zenia, chcę być podobną do którejkolwiek z tych heroin, chcę zaciekawiać, interesować, sprawiać efekt, cierpieć, tęsknić ale marzyć i widzieć kogoś kto by cierpiał także, umierał z miłości dla mnie.

— Wzdychał do twego serca zawieszonego na promieniu księżyca, wtrącałam.

— Tak potwierdziła Zenia, ażeby wzdychał do mego serca zawieszonego na promieniu księżyca, karmił je westchnieniami, ideałami, poezją...

— Zeniu! Zeniu! przerwała Emilka wskazując siostrze spojrzeniem krawca, który słuchał całej rozmowy z szeroko otwartymi oczami. Zenia spostrzegła się, ochłonęła i umilkła, a w tej samej chwili otworzyły się drzwi i pokój napełnił się całym bataljonem kupców, rękawiczników, szewców, szwaczek i magazynjerek.

Uciekłam i nieprędko już potem odwiedziłam dwie siostry. Pomimo przyjaźni jaka nas łączyła, młoda narieczona całkiem zakopana w gałgankach i błyskotkach, dziwnie rozmarzona, wyzywająca przeszłe cierpienia nierozważnymi słowami, nie mająca dla narzeczonego ani jednego westchnienia tęsknoty, ani jednego wspomnienia życzliwości, przykre na mnie czyniła wrażenie.

LV.

Wesele Zeni miało być huczne i świetne, matka jej i pan Henryk zawczasu już rozsyłali na wszystkie strony zaproszenia, wzywające do assistowania uroczystemu aktowi wszystkich krewnych, przyjaciół i znajomych familji.

Wiedząc o tych przygotowaniach z góry wyobrażałam już sobie, w jak niebiańskie zachwycenie wprowadzić miały nowiuteńkiego pana Michała świetne i stare nazwiska owęj parantelli przyszłej jego żony, które w czasie wesela wygalonowani lokaje wygłaszać będą z progu salonów. Zabawa weselna miała być urządzona jak najwspanialej a ku większemu jej splendorowi obmyślono, aby zwykłe tańce urozmaicone były muzykalno, wokalnym koncertem. Koncert ten miały wykonać dwie panny pięknie grające na fortepianie, ktoś z mężczyzn biegle władający smyczkiem i dwa głosy z których jeden był kobiecym sopranem, drugi męzkim tenorem. Do rzędu fortepianistek mnie zaliczono; pani S. osobiście

i usilnie prosiła mnie i mojej matki, abym na weselu jej córki wystąpiła z muzyką na co chętnie przystaliśmy obie. Matka moja bowiem rada była w swęj macierzyńskiej dumie, że będę miała sposobność ukazać mój talent przed licznym zebraniem, ja zaś myślałam, że uczynię przez to przysługę wychodzącą za mąż towarzysze.

W wigilję ślubu odbył się u Zeni tak zwany wieczór dziewiczy — na który zaproszone zostały wszystkie znajome jej panny. Nikt z mężczyzn nie należał do naszego koła, bo pan młody w tymże samym czasie wyprawiał u siebie wieczór kawalerski i zaprosił całą męską połowę towarzystwa.

Było coś poetycznego i rzewnego w tym obchodzie przedślubnym, w czasie którego kilkanaście młodych dziewic, otoczyło towarzyszkę i przyjaciółkę spędzającą ostatni wieczór w ich swobodnem dziewczęciem kole.

Jutro otworzą się przed nią wrota innego życia, jutro z rozwiniętymi żaglami wpłynie ona w tę krainę przyszłości, którą mogła już tylko zakończy. Jutro będzie ona mieszkanką tego tajemniczego pays de l'inconnu, w którym spotka ją szczęście czy cierpienie całego życia, któż przepowie? Dziś jest ona jeszcze naszą dziewczą, siostrą, towarzyszką, przyjaciółką, miłą i dobrą powiernicą współdziałających smutków naszych i radości. Dziś zatem otoczmy ją kołem serdecznem, obejmijmy ramionami, okrywajmy pocałunkami to czoło wolne dotąd od chmur, a nad którem wiszą może burze i gromy życia. Dziś kochajmy ją całą siłą naszych serc młodych bo któż wie co ją czeka w tej nieznannej, tajemniczej, dalekiej przyszłości ku której dąży? Niech w przyszłość tę zabierze ona z sobą wspomnienie tego wieczoru spędzonego z siostrami, niech to wspomnienie w czekające ją ciemne chwile przynosi błysk niewinnej młodej przyjaźni, niech będzie iskrą i promykiem dla jej serca wtedy, gdy mu na świecie zabraknie ciepła i światła! Pomimo licznego grona zebranych osób cicho i uroczysto było w obszernych, na wpół tylko oświetlonych salonach. W paradnym salonie w koło kanapy zasiadło kilka matek i opiekunek towarzyszących córkom lub kuzynkom, i rozmawiało z sobą po cichu. Twarze ich poważniejsze jeszcze były niż zwykle, głosy zniżały się mimowoli. Często milkły wszystkie, rozmowa przerywała się i tylko oczy z zamyśleniem patrzyły w przestrzeń niby na punkt jakiś niewidzialny a oddalony. Może ten dzień który jednej przytomnych tam młodych istot, zamykał swobodną dziewczą epokę, każdy z tych kobiet zbliżających się ku starości przywodził na pamięć podobny dzień jej życia; może patrząc przed siebie zamyślonemi oczami, każda z nich przypominała sobie jak jej w tym dniu serce uderzało żywo miłością, niepokojem, nadzieją i rachowała w myśli bóle, zawody, cierpienia które spotkały ją później na tej drodze, na jaką wchodziła z wieńcem ślubnym na głowie, wśród śpiewów i pocałunków towarzyszek?

Pośrodku przyległego salonu postawiono duży okrągły stół, a na nim umieszczono dwie wielkie srebrne tace z piętrzącymi się stosami mirtowych gałązek. W koło stołu zasiadło kilkanaście młodych panien w jednolitym prawie stroju, bo umówiłyśmy się już wprzód, że będziemy wszystkie ubrane w proste suknie z białego muślinu, które wydawały się najstosowniejsze dla tej dziewczęcej uroczystości. Każda z nas zabierała z tacy garść gałązek i układała je w drobne bukieciki przewijając każdy białą wstążeczkę. Bukieciki te przeznaczone były dla ślubnej assistencji, a wiązanie ich było obowiązkiem młodych towarzyszek i niejako celem dziewczęcego wieczoru; ślubny zaś panny młodej wianeczek upleść powinna była siostra jej lub najbliższa przyjaciółka.

Dziwnie jakoś ciche i uroczyste było dziś to nasze koło. Ani gwaru, ani muzyki. Na każdej prawie z naszych twarzy przesuwało się wzruszenie i migotała zaduma, fortepian stał zamknięty, jakby także zamyślony nikt go znać dziś nie poruszył jeszcze i poruszyć nie myślał. Rozmowa urywała się ciągle, wszystkie nasze młode głowy pracowały znać myślą i na wyrazy zdobyć się nie mogły, tylko kilkanaście par drobnych i białych rąk poruszało się zwinnie, z symetrią i starannością układając wianeczki zielonych mirtu gałązek.

— No teraz moje panie, rzekła Emilka przerywając dość długie milczenie, wybierzcie mi najpiękniejsze i najbujniejsze gałązki! Zaczynam bowiem spleatanie wianeczka!

To mówiąc Emilka przysunęła do siebie tacę i zaczęła przebierać między gałązkami, kilka najbliższych jej siedzących panien zaczęły jej pomagać, kilka innych przeniosło wzrok z wiązanek swych na Zenię.

Zenia bledsza była i bardziej milecząca jak zwykle, przy wyrazach Emilki upuściła kilka gałązek które machinalnie trzymała w ręku i zamyśliła się.

— Jakże to dobrze moja Zeniu, mówiła dalej Emilka żartobliwym tonem, że raz już przecie odbędzie się to twoje wesele!

Przyznam się że te dwumiesięczne kłopoty z twoją wyprawą i wszystkimi temi przygotowaniami, porządnie mię zmęczyły i jak zbawienia wyglądam chwili, w której po twoim ślubie z mamą na wieś powrócę!

— I nie będzie ci smutno bezemnie, Emilko? wymówiła Zenia podnosząc na siostrę oczy, które zamgliły się smutkiem.

— O, i bardzo! zawołała Emilka z tklivością w głosie, przecie dotąd nie rozstawałyśmy się z sobą ani na dzień jeden, wszystko było nam wspólne. Po twoim oddaleniu się z domu poczuję się bardzo osamotnioną.

— Nie nadługo może, przerwała śmiejąc się jedna z panien.

— Dla czego? spytała Emilka.

— Bo może i sama wkrótce zamaż wyjdiesz?

Emilka obojętnie wzruszyła ramionami i odpowiedziała krótko.

— Nie sędzę aby to prędko miało nastąpić.

— A ja myślę, zawołała któraś z towarzyszek, że z wesela Zeni wiele innych wyniknie wesel. Takie mnóstwo osób z różnych stron się zjechało, tyle nieznanych dotąd sobie ludzi pozna się i zbliży do siebie przy tej zręczności, że jestem pewna iż z tego wszystkiego niejeden wyniknie marjaż.

— To prawda, zabrała głos Zenia, pomiędzy jutrzejszemi naszymi gośćmi znajdzie się wielu panów, mało dotąd nam znanych. Między innymi pokaze się także wśród nas gwiazda męskiego rodzaju i pierwszej na firmamencie naszym wielkości gwiazda tajemnicza, która lubo bardzo blisko nas świeci i to nie byle jakim światłem urodzenia i majątku, mało widzialną bywa nam zwykle, gwiazda...

— Zeniu! zawołała jedna z towarzyszek; porzuć przenośnię a mów wyraźnie: kto to taki ta twoja gwiazda?

— Niestety! nie była, nie jest i nie będzie ona moją! z komicznym wyrazem odparła Zenia, która z właściwą sobie ruchliwością charakteru odzyskała w mgnieniu oka zwykłą swą wesołość i gadatliwość. Niestety! mówiła dalej, gwiazda ta dla żadnej z was nie zaświeci podobno, chociaż ją jutro ujrzą oczy wasze. O ile światła o tyle jest niedostępna! W pogardzie ma ona podobno nasze zgrabne, ustrojone postacie i ładne utrefione główki; szuka ona podobno czegoś więcej niż to co jej dać możemy, a tymczasem....

— Ale któż to? kto? zawołało kilka głosów.

— Zgadnijcie figlarnie mówiła Zenia, opiszę go wam. Albo nie, opisywać go nie będę bo nie potrafiłabym dokładnie tego uczynić. Zresztą w powierzchowności swojej człowiek o którym mówię, nie ma szczególnego, nie niepospolitego, ma wzrost średni, włosy ciemne, czoło wysokie i rozumne, oczy wielkie, ciemno-szare, usta łagodne...

— Ależ moja droga, przerwano, malujesz portret w którym mnóstwo ludzi poznać można...

— Być może kończyła Zenia, więc dla bliższego określenia wolę wam powiedzieć, że człowiek o którym mówię odziedziczył po ojcu dobra ogromne ale zadłużone i zrujnowane, że pomimo to sprzedać ich za żadną cenę nie chciał ale jak wieść niesie, pracował przez dziesięć lat jak wyrobnik, a dziś jest już jednym z największych panów w kraju, że mieszka w starożytnym modrzewiowym dworcu postawionym na wzgórzu, że za wzgórzem tym pod ścianą borów, biela się liczne marmurowe grobowce jego pradziadków...

— To hrabia Witold, zawołałam a zarazem wszystkim gałązki mirtowe jakie trzymałam w ręku rozsypały mi się na suknię. Rozmowy Zeni słuchałam zrazu z zupełną obojętnością, ale przy ostatnich jej wyrazach poczułam mimowolne wzruszenie, odgadłam o kim mówiła i sama nie wiedziałam jakim sposobem, imię hrabiego Witolda wypadło z ust moich.

— Zgadłaś Wacławo, odrzekła Zenia, ta gwiazda pierwszej wielkości o jakiej mówiłam, ten człowiek który mieszka o mieście z naszymi rodzicami a którego jednak tak mało znamy, ten słowem bogaty, wysoko urodzony, interesujący i niedostępny gość nasz jutrzejszy, to hrabia Witold. Gdy Zenia to mówiła, po mojej głowie kręciła się nieustannie myśl: „Zobaczę go więc zbliżać! poznam go!” I na myśl tę zdejmowała mi ciekawość połączona z radością i pewną nieokreśloną obawą.

— Już to trzeba przyznać, ozwała się Emilka, że hrabia Witold pomimo że nie może liczyć się do rzędu bardzo pięknych mężczyzn, ma powierzchowność tak jakoś odróżniającą się od tła ogólnego, że wzbudza interes od pierwszego spojrzenia...

— Masz słuszność Emilko, potwierdziła inna panna, widziałam go parę razy i bardzo mi zainteresował, nigdy jednak z nim nie rozmawiałam.

— Co do mnie, rzekła ze śmiechem Emilka, zazdrościłam zawsze Helenie sposobności bliższego poznania hrabiego Witolda, jaką miała spotykając go w domu swego stryja....

— Nie wiele wygrałam na tej sposobności, również żartobliwie odparła Helenka, hrabia Witold nie zbliżył się do mnie ni razu i był zawsze tak obojętnym na moje wdzięki, jak oto ten marmur!

To mówiąc z udanym komicznym gniewem uderzyła parę razy drobną swą pięścią o marmurową płytę stolika.

— Papa mówi zawsze, że to bardzo zacny człowiek ale jakiś dziki, wyrzekła jedna z pańien.

— W każdym razie to najświetniejsza partja w prowincji, odparła inna; majątek jego liczą na niewiem już ile milionów a przytem nazwisko...

— Otóż to nazwisko, odezwał się z kolei, jest wedle mnie jednym z przymiotów hr. Witolda, wzbudzających najżywszy dla niego interes...

Zaledwie to wymówiłam już pożalowałam słów moich, poczułam bowiem że wydałam się z najskrytszą moją myślą, to jest zajęciem jakie nieznany mi prawie człowiek wzbudził we mnie. Nie miałam jednak czasu na rozwałę, bo Zosia milcząca dotąd podniosła na mnie swoje przyémione apatyczne oczy i wymówiła:

— Czyliż Wacławo tak prędko zmieniłaś pojęcie

swego o równości ludzi między sobą, że świetne nazwisko intryguje cię i w zachwyt wprawia?..

Ton lekko ironiczny jakim słowa te były wymówione uraził mnie nieco.

— Bynajmniej moja Zosiu, odparłam żywo, imię hr. Witolda podoba mi się nie dla splendoru jakim okrywa go w oczach ludzi, ale dla tego że przypomina nie wielkie a piękne bardzo rzeczy. Kiedy wkrótce po powrocie mym z pensji, usłyszałam po raz pierwszy imię to w domu méj babki, wnet stanęły mi w myśli wspaniałe sale wśród których z taką chwałą brzmiało one niegdyś, sławne zwycięstwa, jakie wraz z nim zapisane zostały na kartach dziejowych... i pomyślałam sobie zarazem a i dotąd tak myślę, że ludzie co imiona podobne dziedziczą wraz z nimi otrzymują w spadku wielki obowiązek, utrzymania ich na zdobytych wiekami wysokościach. Zajmuje mnie więc imię hr. Witolda dla tego, że czuję w nim jakąś głęboką nieokreśloną poezję, przemawiającą przez nie przeszłości; że przypomina mi ono cudowne opowieści, które w kolebce jeszcze prawie słyszałam z ust piastunki i które stanowiły zachwyt i rozkosz moich lat dziecińczych; że daje mi ono obietnicę iż człowiek który je nosi, otrzymał w spadku po sławnych swych przodkach, część ich cnót wielkich i posiada w duszy tę odwagę i prawosć rycerską, jaką każda z nas w tajemnicy serca przyodziewać lubi wymarzony przez się ideał mężczyzny. Mówiłam to z zapałem i uniesieniem, w pamięci żywo stanął mi ów obiad u babki Hortensji, przy którym pierwszy raz słyszałam rozmawiając o hr. Witoldzie osoby. Słowa jakie o nim wymówił wówczas proboszcz i p. Rudolf pamiętałam tak dokładnie, jakbym je wczoraj dopiero słyszała.

Nie wiem jakaby na tę tiradę moją była odpowiedź młodych mych towarzyszek, bo rozmowa przerwana została wniesieniem przez lokajów cukrów, konfitur i tym podobnych przysmaków.

Gdy wszystkie bukieciki z mirtu były już powiązane a młode żeńskie grono powstawszy od stołu, połączyło się w oddzielne grupy i przechadzało się po salonach, Emilka wzięła mnie pod rękę i pociągnęła we framugę okna zdala od wszystkich obecnych.

— Mam do opowiedzenia ci pewne wielce ciekawe rzeczy o których dowiedziałam się dzisiaj, rzekła półgłosem. Musisz mi tylko dać słowo że dochowasz tajemnicy.

Ostatnie wyrazy były koniecznym wstępem rozpoczynającym zwykle zobopólne zwierzenia się młodych towarzyszek: przyrzekałam tajemnicę i słuchałam z ciekawością.

— Wyobraź sobie, mówiła Emilka najciszej jak tylko mogła mimowoli zupełnie wysłuchałam między Henrykiem i narzeczoną Zeni rozmowę, która dała mi wiele do myślenia i zmartwiła mnie a razem pocieszyła. Dziś przed południem jeszcze siedziałam w swoim pokoju w rannym negliżu, i choć Zenia oddawna mnie napędzała abym ubrała się i pojechała z nią na miasto po jakiś jeszcze sprawunek, nie mogłam przemódz sobie i otrząsnąć się z zamyślenia jakie mnie ogarnęło. Myślałam o tem jaka też to będzie przyszłość Zeni z człowiekiem, którego nie kocha, za którego wychodzi tylko dla pozycji i jak powiada dla rozmaitości. Smutno mi było, lękałam się o siostrę i przyrzekałam sobie, że nigdy nie postąpię tak jak ona, że choćby mi przyszło starą panną pozostać, nie wyjdę za mąż inaczej jak za człowieka, który mi trafi i do serca i do przekonania. Gdy tak siedziałam zatopiona w myślach i sama jedna, do przyległego gabinetu który jak wiesz dzielili nasze pokoje z resztą mieszkania, weszli Henryk i pan Michał. Z początku chciałam umknąć do pokoju Zeni, ale spostrzegłam że drzwi były na klucz zamknięte, musiałabym więc chyba przechodzić przez

pokój w którym byli panowie, czego nie chciałam ożynić w negliżu. Zresztą byłam pewna, że mnie nie zobaczą bo drzwi na wpół tylko były otwarte, a ja siedziałam tak że ekran od kominka do połowy mię przed nimi zakrywał. Zostałam więc na miejscu i nie przerywając sobie ciągu moich myśli, nie zwracałam zrazu żadnej uwagi na rozmowę, którą prowadzili oni z sobą półgłosem, nagle uderzyło mnie wymówione przez Henryka imię Zeni, a ponieważ o niej właśnie ze smutkiem i obawą myślałam, na dźwięk jej imienia pierwszy raz podniosłam oczy i spojrzałam na rozmawiających z sobą panów, których przez ażurowe ramy ekranu wybornie widziałam...

Henryk siedział na fotelu i palił cygaro, pan Michał stał z drugiej strony stolika.

W chwili gdy spojrzałam na nich umilkli, a z fizjonomji obydwóch poznać mogłam, że frazes na którym urwała się rozmowa był drażliwej treści. Po chwili pan Michał wyjął ręce z kieszeni, oparł je o stół, potem założył na piersi, potem poprawił nim włosy i nakoniec znowu do kieszeni je włożył. Po odbyciu dopiero tych różnych a własnych mu ewolucji z rękami, wymówił dość cicho i nie odrywając oczu od lampy która stała na stole: przyznam się panu że nie rozumiem dobrze w jakim celu rozpoczęłeś pan ze mną rozmowę o posagu panny Zenonny... W takim, odpowiedział Henryk obojętnie bawiąc się dymem swego cygara, abyś pan żeniąc się z moją siostrą wiedział co z nią razem bierzesz, i potem nie stawiał wymagań, którychbym nie był w stanie zadowolnić. Panie Henryku... przerwał p. Michał bardzo żywo i jak mi się zdawało z pewną obrazą w głosie.

— Pozwól pan abym skończył, ciągnął Henryk, i nie obrażaj się na mnie za to, że chcę grać z tobą carte blanche dla ochronienia przyszłości mego spokoju i wspólnej naszej zgody od wszelkiego niebezpieczeństwa. Otóż chciałem panu powiedzieć, że uważam się za jedynego spadkobiercę i dziedzica majątności pozostałych mi po ojcu, a siostrą moim wydziele należną im wedle litery prawa czternastą część tego majątku. Ponieważ zaś dobra naszego ojca zostały po jego śmierci ocenione na 70,000 rubli, każdej z siostr moich wypłacę sumę pięciu tysięcy. Więcej żadna z nich spodziewać się ode mnie nie może, a i tak kosztowną wyprawę otrzymują już tylko jako dowód mojej przyjaźni i hojności braterskiej, a nie jako rzecz z dziedzictwa im przynależną.

— Przyznam ci się, mówiła dalej Emilka, że byłam wielce zdziwiona tą allokucją Henryka, nigdy bowiem nie spodziewałam się aby był do tego stopnia eheiwym i niesprawiedliwym względem nas. Wprawdzie majątki pozostałe po naszym ojcu zostały w istocie ocenione na 70,000 rubli, ale stało się to w skutek jakichś szczególnych okoliczności i wiem z pewnością, że dziś dwa razy więcej są one warte. Zresztą gdybym była na miejscu Henryka czuję, że nie trzymałabym się tak ściśle litery prawa, która wydziedzicza prawie siostry na korzyść brata. Daleko jednak mniej byłam zmartwioną tem odkryciem szczupłości mego mienia, jak ciekawą znalezienia się w tym razie pana Michała, przestał on patrzeć na lampę i trzymał oczy utkwione w Henryka; w oczach tych było w tej chwili coś niezwykłego, wydały mi się one mniej dobroduszne jak zawsze a jakieś niby rozumniejsze. Po chwili wyjął ręce z kieszeni, skrzyżował je na piersi, potem oparł o stół i rzekł: panie Henryku! starając się o siostrę pana nie myślałem nigdy o jej posagu; pan wiesz że sam posiadam blisko miliona funduszu a gdybym i nie nie posiadał, nie ożeniłbym się nigdy dla pieniędzy. Z wielką prostotą

a nawet z rodzajem nieśmiałości która mu jest właściwą, wyrzekłszy te słowa pan Michał podniósł ręce do włosów, potem skrzyżował je znowu na piersi, aż nareszcie jakby ostatniej szukając dla nich nieczki zapalił papierosa. Henryk długo milczał, bawił się dymkiem od cygara i uśmiechał się dziwnie, po kilkunastu dopiero sekundach spojrzał na p. Michała z pod okularów i odezwał się. Mój panie! jestem zanadto praktycznym człowiekiem abym wierzył w mrzonki, które panowie nazywacie miłością, bezinteresownością, poświęceniem i t. d. Człowiek mój panie tak jest stworzony, że we wszystkim szuka dla siebie korzyści, sam jestem takim i nikomu nie mam tego za złe; dla tego też i pana chciałem uprzedzić, że jeśli byś się powodował wyrachowaniem pieniężnym... Nie powstało ono nigdy w mojej głowie, zawsze z równą prostotą przerwał p. Michał.

— Tem lepiej, kończył Henryk; przyznaję zresztą panu zupełną słuszność, bo jeżeli siostra moja nie ma prawie posagu, przyniesie ona za to panu te zaszczytne w świecie stosunki, które zapewne miałeś pan na myśli starając się o jej rękę.

Przy tych słowach Henryka twarz p. Michała zmieniła się nagle. Spasował tak, że aż mu czoło zaszło szkarłatem i zgniótł nagle na popielnicy papieros jaki machinalnie był zapalił.

— Przepraszam pana.. mylisz się pan... zaczął mówić przerywanym od wzruszenia głosem. Jestem synem dorobkiewicza to prawda, kiedy wszedłem do towarzystwa państwa, poczułem się bardzo zaszczyconym i podniesionym... i to prawda... mam tę próżność i pretensję że pomimo mego świeżego bogactwa lubię pokazać się nie gorzej od innych i to jeszcze prawda.. ale co do panny Zenony... przepraszam... mylisz się pan... pragnę ożenić się z panną Zenoną... nie dla pieniędzy ani dla koligacji ale prosto dla tego że mi się podoba... że nie widziałem lepszego i miłszego od niej panny... dla tego że kocham pannę Zenonę!... Wymawiając te niezbyt błyszczące wymową wyrazy, p. Michał zmienił się do niepoznania. Błede jego oczy zapłonęły, cała twarz pokryła się wyrazem pocziwego i nieudanego uczucia, ręce nawet nie robiły zwykłych swych ewolucji, ale pozostawały skrzyżowane na piersi. W tej chwili wydał mi się prawie pięknym. Pożałowałam w duchu że Zenia nie widziała go takim jak był wtedy i pomyślałam sobie, że nie zawsze trzeba wierzyć pozorom, że najpospolitszy i najmniej dystygowany człowiek miewa chwile, w których dusza jego ukazuje się szlachetniejszą, poetyczniejszą jak nie jednego najwytworniejszego salonowca. Spojrzałam na Henryka i aż wzdrygnęłam się tak mi się wydał brzydkim i odrażającym. Nie przestawał on palić cygara i wypuszczając z ust cieniutkie nitki dymu, patrzył na pana Michała z wyrazem w którym była ironja, niedowierzanie i jakaś tajona, brzydka radość! Tem lepiej! tem lepiej że tak jest! jak pan mówisz wycedził po chwili przez zęby; nie mi za' em więcej nie pozostaje jak prosić pana o danie mi urzędowego zapewnienia, że nie będziesz żądał dla mojej siostry posagu wyższego nad sumę, którą tylko co wymieniłem. Bo chociaż mam za sobą prawo i żadnych processów się nie obawiam, to jednak dla uniknięcia wszelkich na przyszłość zatargów, wolę mieć od pana skrypt który zobowiąże go moralnie i honorowo a po części nawet i prawnie. Pan Michał uklonił się lekko i z tą samą prostotą z jaką całą rozmowę prowadził odpowiedział: z największą chęcią uczynię to czego pan odemnie wymagasz. A zatem proszę z sobą do mego pokoju, rzekł Henryk i obaj opuścili gabinet.

— Możesz wyobrazić sobie pod wpływem jakich

uczuc zostalam po ich odejściu, kończyła Emilka; zobaczyłam całą cheiwość i obojętność dla nas Henryka, ale za to przyszły szwagier wielce zyskał w mych oczach. Smutno mi było z powodu brata ale cieszyłam się za siostrę myśląc, iż będzie miała pocziwego i szczerze przywiązanego do niej męża...

— Czy opowiedziałas Zeni to wszystko? przerwałam.

— Opowiedział mi wszystko, ozwał się obok nas głos Zeni, która przybliżyła się niepostrzeżona i usłyszawszy ostatnie słowa rozmowy domyśliła się jej treści. Opowiedział mi wszystko i dobrze uczyła, bo sprawiło to na mnie dobre wrażenie. Mówcie co chcecie, ale miło jest czuć się prawdziwie kochaną i od chwili w której posłyszałam o pocziwym znalezieniu się p. Michała, zdaje się że go więcej lubię. Zresztą nigdy nie miałam do niego antypatji.

Spojrzałam na Zenię gdy to mówiła i smutno mi się zrobiło. Jakże chłodne i bezbarwne brzmiał wyraz: lubię! w ustach młodej narzeczonej!

— O! zawołałam w myśli, jaby w tym chłodnym wyrazem nigdy do ołtarza nie poszła. Biedny pan Michał! on ją kocha!

— W tej chwili rozmowa nasza i moje rozważania przerwane zostały ogólnym apelem do odjazdu. Musiałyśmy poszanować nasze siły i cery na uroczysty a huczny dzień jutrzejszy, rozstałyśmy się więc wczesnie ze słowami: do jutra! na ustach.

LVI.

Pamiętam że była to godzina piąta po południu, pogodny, słoneczny, dzień zimowy miał się ku końcowi, ale w obszernym salonie o kilku wielkich oknach widno było jeszcze. I gwarno tam było także bo orszak przyszłubny złożony z kilkudziesięciu osób już się był zebrał.

Tu siedziało grono poważnych kobiet, tam liczne koło mężczyzn ubranych w czarne fraki i śnieżne krawaty gwarzyło półgłosem, tam znowu pstrzyły się różno-farbne suknie družek, przyjaciółek z biciem serca i wzruszeniem na twarzy, wyglądających wejścia panny młodej, którą dopiero strojono do ślubu. W białej sukni zdobnej w kwiaty i koronki, wianeczku z drobnych róż włożonym na włosy długimi lokami opływające ramiona, w pięknym naszyjniku z pereł na szyi stałam pomiędzy towarzyszkami zdjęta niewystowionem wzruszeniem. Pierwszy to raz w życiu znajdowałam się obecna przy poważnej, przenikającej uroczystości ślubnej. Wszyscy rozmawiali półgłosem i częste rzucali spojrzenia na drzwi wiodące do pokoju panny młodej, chwilami dochodził z ulicy odgłos niecierpliwego rżenia koni u licznych stojących przed bramą powozów: od czasu do czasu także lokaj ubrany w czarny frak ze srebrnymi ozdobami stawał na progu salonu i wymówieniem jakiego imienia oznajmiał przybycie nowego gościa.

— Zdaje mi się że nikogo już nie brakuje, rzekła do mnie śliczka Emilka, na wieczornej zabawie daleko więcej będzie osób ale do asystencji przyszłubnej mama zaprosiła albo tylko najbliższych krewnych i znajomych, albo osoby o których sądziła że uświetnią orszak swą obecnością... Zaledwie Emilka wymówiła te wyrazy, gdy w progu pojawił się znowu lokaj i podniesionym głosem wymówił:

— Pan hrabia Witold Z.

Zdawało się że dźwięk tego starożytnego, pełnego chwały nazwiska, czarodziejско na obecnych oddziaływał. Nagle milczenie zaległo salon, wszystkie rozmowy ustały, rozpoczęte słowa niedopowiedziane skonały na ustach, wszystkie oczy obróciły się ku drzwiom wchodowym.

Mnie nazwisko to ugodziło w samo serce, duszę całą skupiłam w oczy i patrzyłam na wchodzącego.

Po raz drugi widziałam go w życiu i po raz drugi powiedziałam sobie, że był brzydki prawie i bardzo piękny zarazem.

Z nieregularnych rysów jego postaci, która bynajmniej klasycznych nie posiadała kształtów, tryskała zdrowa, rozumna siła fizyczna i moralna. Nie miękkiego, nie wypieszczonego, nie przybrane-go i przyczepionego; ani wykwinnej manieri i harmonijnych gestów p. Agenora, ani kobiecej miękkości rysów i cery p. Lubomira, ani zuchwałych spojrzeń i marzących uśmiechów pogromcy serc p. Aleksandra, a tylko prostota, taka prostota jakiej u nikogo dotąd nie widziałam cechowała tego hrabiego o wiekopomnem imieniu, tego milionera o milionach odziedziczonych po przodkach i zarazem własną zdobytą pracą. A jednak głowę niósł wysoko; na wielkim w nieregularne wypukłości wyrzeźbionem jego czołe duma leżała, ale piękna, pociągająca, duma nie o mistrze hrabiowski i milionowych do-brach mówiąca, ale o godności człowieczeń i obywatelskiej, o posłannictwie jakie spoczęło na głowie potomka wielkich mężów.

Był dziwnie, nieskończenie niepodobny do mężczyzn którzy zapełniali salon. Między nimi a nim zdawała się leżeć granica dwóch odrębnych światów. Wielu z nich miało słuszniejszy wzrost, piękniejsze rysy, klasyczniejsze kształty postaci, a jednak wyglądali w obec niego mali i pospolici.

Przeszedł salon, powitał gospodynię domu i otaczające je panie i wymówił kilka frazesów. Głos jego był czysty i świeży, ale nie pieszczony i modelowany, czuć w nim było mężczyzną i pierś siły męskiej pełną. Stałam blisko i słyszałam co powiedział. Były to potoczne i proste słowa o podróży przebytej ze wsi do miasta, o stanie dróg a zdaje mi się i o pogodzie nawet. W podobnej okoliczności p. Agenor rozsypałby cały rój komplementów i dowiepów, pan Lubomir nie omieszkaby wygłosić szumną i kwiecistą tiradę; hr. Witold mówił o podróży swjej i o stopniu temperatury jak zwyczajny najwyczajniejszy śmiertelnik. Potem, obrócił się ku mężczyznom, którzy wszyscy z uprzejmym i więcej nawet niż uprzejmym pośpiechem, podawali mu ręce i wmięszali się do ich grona.

Tymczasem otworzyły się drzwi bocznych pokoi i wsparta na ramieniu brata, weszła panna młoda w śnieżnym ślubnym stroju. Jednocześnie trzy druchny to jest: Emilka, Zosia i ja wzięłyśmy każda jedną tacę pełną mirtowych wczoraj uwitych bukietów, i przechodząc od jednego z panów do drugiego przypinałyśmy każdemu z nich do fraka po jednej z zielonych wiazanek. Panowie kłaniali się i dziękowali, zewsząd sypały się żarty i wesołe śmiechy. Dwaj czy trzej młodzi ludzie których udarowałam wiazanekami już mię więcej nie opuścili, i krok w krok postępując za mną, wywołując usilnie zwykłą, żartobliwą a pustą słów szermierkę. Orszak ten który w innym czasie nie by dla mnie nie miał przykrego, a możeby nawet i w najlepszy wprowadził humor, w tej chwili był mi prawie niemiłym. Nie patrzyłam na hr. Witolda ale z pomocą tego ukośnego, że tak wyrażę się podwójnego wzroku, jakiego używają dobrze wychowane panny, którym zwyczaj wzbrania prosto i otwarcie patrzeć na wszystko i wszystkich, widziałam dobrze, iż stał on niedaleko z ręką opartą o fortepian, w rzędzie mężczyzn, których obdarzałam kwieciami weselnym.

(d. c. n.)

MAŻ I ŻONA

POWIEŚĆ W TRZECH TOMACH

WILKIE COLLINS'A

TŁUMACZONA Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

Paulinę Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

Widok pięści Godfryda rzeczywiście tak go przestraszył, że Bishopriggs jak nigdy w młodych latach, puścił się galopem w ucieczkę, i nie zatrzymał się dopóki domku i placu daleko nie pozostawił za sobą. Potem usiadł i odetchnął z pewnem zadowoleniem, gdyż w każdym razie zyskał wiele, przekonawszy się, że ten dziki okrutnik z pięścią potężną, nie był tym który w karczmie za męża owę pani uchodził, ale raczej Delamayn'em, którego list posiadany kompromitował. Nie odważyłby się wszelako przemówić do niego, bacząc na bezpieczeństwo osobiste, ale na szczęście obchodziła ta sprawa inną jeszcze osobę: mistress Glenarm, bawiącą w Swanhewen także.

— Dzięki Bogu! — poszepnął sobie w duszy, trzymam za ogon dwie sroki, i rzucając dokoła bądawcze spojrzenia udał się ku jezioru, by wśród gości zebranych mistress Glenarm odszukać.

Zabawa taneczna na najwyższego tymczasem doszła ożywienia, a szeregi uczestników pomnożyła właśnie osoba, którą chciał oglądać. Połajany przez starszego lokaja, że nie pokazywał się tak długo, Bishopriggs wziął się skrzętnie do roznoszenia lodów i innych chłodników. Śledząc całe zebranie bądawczo, dwie osoby szczególnie zajęły jego uwagę. Pierwszą był jegomość stary latami a młody powierzchownością, u którego włosy, zęby, pleć, były prawdziwym tryumfem sztuki odmłodzenia. Przystawał tylko z młodzieżą i do najmłodszych umizgał się panien; nie opuścił żadnego tańca, dwa razy wprawdzie zmierzył już trawnik długością osoby swojej, ale cóż to szkodziło? Bishopriggs dowiedział się, że kiedyś był oficerem marynarki, gdzie go podwładni jego przezywali Tatarem. W wyższym społeczeństwie znano go, jako kapitana Newenden i jako ostatniego przedstawiciela jednej z najdawniejszych rodzin w Anglii.

Drugą zaś osobą była pani w oczach Bishopriggsa istne cudo urody, której atłasy, koronki, złoto i brylanty, uczyniłyby go odrazu bogatym, a nawet potrafiłyby dwóch takich jak on biedaków ubogacić. Otaczało ją liczne grono wielbicieli, a gdy usiadła wiewając kawałkiem batystu, stanowiącym prawdziwe arcydzieło koronki, dworowali przed nią, podobni do wytresowanych doskonale piesków, na dwóch łapkach skaczących. Jedni przynosili chłodniki, drudzy biegli za jakimi poleceniami po które je raz wraz wysyłała, a z których następnie sprawozdań nie słuchała wcale, wszysej zaś jednogłośnie ubolewali, że jej przy obiedzie nie było.

Bishopriggs dowiedział się, że tą piękną cudowną jest mistress Glenarm bratanka kapitana Newenden i zadał sobie zaraz pytanie: co mu teraz czynić wypada? Bo jeżeli ją przestrzeże co do tajemnicy od której los jej zależał, to może o tem powiadomi swego Herkulesa z tak potężną pięścią, albo też tego starca młodego, który umiał tak starannie wiek swój ukrywać. I z jednym i z drugim spotkanie uznał za niebardzo dla siebie bezpieczne, postanowił zatem bezimiennie wystąpić. Dowiedział

się od służby, dokąd mistress Glenarm pojedzie i przesłać jej pocztą anonim z zastrzeżeniem, pomieszczenia odpowiedzi w którym z dzienników.

Tym sposobem zatrwożyły ją a sam pozostał w ukryciu. Wdowa odbierając z rąk jego w tej chwili szklanę limonady, ani przypuszczała jak ważną dla niej za tydzień będzie osobą.

Wieczór zapadał długie rzucając cienie. Jezioro pokryło się czarną barwą, pływające po niem białe łabędzie, poczęły znikać powoli zmieniając się jakby w fantastyczne widma mgłą przyobleczone. Starsze osoby zebrania wybierały się już do odjazdu, młodsze z wyjątkiem kapitana Newenden, były znużone, opuszczono zatem plac taneczny, wreszcie palce i płuca muzykantów upragnionego doznały spoczynku. Lady Lundie była najpierwszą, która powozom swoim zająć kazała, tłumacząc się że nazajutrz miała rano udać się do Londynu.

Bishopriggs dowiedział się nadto, że mistress Glenarm do Parthu wyjedzie, postanowił zatem zaraz także nazajutrz tam pojechać, i przesłać jej ułożony przez siebie anonim.

W tym czasie wydarzył się w domku wyścigowym wypadek, który sobie baczny na wszystko trener zaraz w notatkach zapisał.

Godfryd odbył bieg drugi czyli pochód milowy bez wielkiego wysilenia, które tak zatrważają, co objawiło się w onym nagłym sprint'cie. Perry wszelako wzbronil mu należyć do wieczornej zabawy a polecił natychmiastowy spoczynek, czemu naturalnie Godfryd ani pomyślał się sprzeciwić. Cisza zaległa więc domek, Perry przeglądał notatki i namyslał się jakie na dzień jutrzejszy pupilowi swojemu wydać przepisy postępowania, gdy nagle z wielkiem swem przerażeniem głuchy jęk Godfryda posłyszał. Spiać rzucał się po posłaniu, jęczał, twarz miał zmienioną, dłonie zaciśnięte a na czole gęste krople potu. Widocznie sen dręczył go straszny.

Perry zagadał i podniósł się na łóżku. Godfryd obdziwiony się krzyknął, spojrzał na trenera z przerażeniem i zawołał.

— Idź do diabła i weź z sobą tę tablicę piekielną.

— Pan marzysz, master Delamayn! odezwał się Perry. O jakiejże to mówisz tablicy?

Godfryd spojrzał wkoło i odetchnął.

— Byłbym przysiągł, że ją widzę jak na mnie oto tam pod gruszką wytrzeszczyła ślepie. Ale teraz wszystko już dobrze.

Perry przypuszczając tę senną zmore niestrawności, dał mu szklanę gorzałki z wodą i polecił, by położył się znowu i zasnął.

— Tylko lampy nie gaś — odezwał się Godfryd układając się na nowo do spoczynku.

— Boisz się pan ciemności? z uśmiechem zapytał trener...

— Ej! wiesz przecie, dobrze że lekliwy nie jestem, ale przysniła mi się ta stara djablica niema kucharka z Windygates, z tabliczką szyfrową...

SCENA SIÓDMA.

Ham Farm

XXXVI.

W przeddzień ślubu w Ham Farm u sir Patrika, warunki przedślubne ułożono i intercyza podpisana została. Z wyjątkiem doktora i jednego z młodych akademików, wszysej goście z Windygates przybyli.

Nadto zaprosił sir Patrik osoby do rodziny należące i sąsiadów kilku.

Ham Farm nie odznaczała ani wystawną wspała Windygates, ani starożytną malowniczą Swanhawenu. Było to miejsce zwyczajne jakich w Anglii jest wiele. Lady Lundie wierna wspomnieniom śmierci kochanego małżonka, stroniąc niby od wszystkiego, czyniła prawdziwą wystawę ze swojego smutku, czem nawet i spokojne usposobienie sir Patrika drażniła. Błanka nękana ciągłym niepokojem o Annę, także niewesoła dni dziewicze żegnała. Arnold, któremu jako oblubieńcowi, niewolno było wedle dawnych obyczajów zamieszkać przed ślubem pod jednym dachem z narzeczoną, musiał dnia każdego udawać się na noc do najętego mieszkania w zajeździe. Tak zarządziła lady Lundie a skromny i powolny młodzieniec stosował się do tego, chociaż ta codzienna wędrówka niezbyt przyjemną dlań była. Że zaś starsze panie zebrania, trwały jakoby w ciągłej opozycji względem lady Lundie, młodsze zaś strojem swoim zajęte były, Smith więc wyrzekł ponuro:

— Nie masz tu żadnej przyjemności, a nudy coraz zawzięciej zaczynają dokuczać.

— W niedzielę w przeddzień ślubu, odrzekł na to Jones z westchnieniem, pośpiech ogólna najwyższego sięgała szczytu. Zły to znak kochany Smithcie, bardzo zły i nic z tego nie wróżę dobrego.

Wieczorem zebrało się towarzystwo całe a dziwne było ciche i poważne.

Sir Patrik przeglądał w bibliotece papiery jakieś, potem nieznacznie skinął na Arnolda i wyszli obadwaj do sali jadalnej pustej teraz zupełnie. Pan domu drzwi zamknął za sobą.

— Pragnę z tobą pomówić mój Arnoldzie, odezwał się, — zanim mężem Bianki zostaniesz. Czy pamiętasz wczorajsze opowiadanie lady Lundie o zabawie w Swanhawen?

— Pamiętam.

— I cóż tam mówiła o Godfrydzie, bom tego dobrze dosłyszeć nie mógł?

— Mówiła, że Godfryd Delamayn żeni się, a ja temu wierzyć nie mogę.

— Uważałem twoje zdumienie zwłaszcza, że z oburzeniem odpowiedziałeś, iż ją pewno złudziły pozory. Czyliż się omyliłem?

— Nie sir, spostrzegłeś dobrze.

— Czy możesz mi powiedzieć powód tej uwagi z pewną nawet stanowczością wyrzeczonej?

Arnold zastanowił się.

— Domyślasz się zapewne że mnie to bardzo obchodzi?

— Tak, odrzekł se zwykłą sobie otwartością.

— Powiem ci nawet, że tu chodzi o miss Silvester.

Arnold zmieszał się, a sir Patrik spojrzał na niego uważnie i mówił dalej:

— Błanka ma swoje błędy ale i jeden wielki przymiot, który ci niezawodnie szczęście zapewni małżeńskie. Jest wierna i stała w uczuciach swoich, gdy raz pokocha to ukocha na zawsze. To też chociaż milczy, na chwilę jednak nie przestała myśleć o połączeniu się z miss Silvester. Bądź więc na to jej żądanie przygotowanym.

— Boleję nad smutkiem Bianki i losem jej przyjaciółki, odrzekł Arnold, ale pochwałę wszystko cokolwiek żona moja pod tym względem postanowi, i będę jej we wszystkim pomocnym.

— Bardzo to ładnie z twój strony i chciałbym aby Błanka przyrzeczenie to sama usłyszała, ale czy powolność ta twoja będzie właściwą? I ja żałuję Anny Silvester, lecz jestem przekonany, że musiała mieć ważne powody na rozłączenie się z Bianką skoro sama tego dopełniła. Mniemam więc, że

poszukiwania wasze będą daremne, zresztą nie mam przeciwko temu, a gdy zechcesz to dam ci nie-które wskazówki które wielce starania ułatwią.

— Będzie to prawdziwa dla nas przysługa.

— Czy pamiętasz com do ciebie o Annie Silwester w Windygates mówił?

— Wyrzekłeś, sir, że nie chcesz śledzić jej wiecój.

— Tak, ale tobie mogę dodać, że wieczorem tegoż dnia samego odebrałem wiadomość, że udała się do Glasgowa. Tam więc jej poszukiwać należy. Nadto, znam dwóch ludzi którzy do tej sprawy są wtajemniczeni. Jeden nazywa się Bishopriggs i był dawniej posługaczem w Craig Fernie.

Arnold zmieszał się powtórnie i poczerwieniał, sir Patrik spostrzegł to również i opowiedział o liście zaginionym Anny, dodając:

— Bishopriggs skradł go niezawodnie a Bianka spotkała go na nieszczęście w Swanhowen, i rozmawiała z nim o tem mojem podejrzeniu. Dał jej karteczkę z adresem swoim, szukałem go tamże ale nie znalazłem jak to przewidzieć mogłem, znając tego hultaja oddawna. Bianka nierozważnem poprowadzeniem badania uczyniła go ostrożnym, będzie mnie więc zapewne unikał. Gdybyś spotkał go kiedy, nie o tem nie mów żonie tylko mnie donieś natychmiast. Tyle o Bishopriggsie. A teraz o tym drugim.

— Któż on jest?

— Twój przyjaciel Godfryd.

Arnold z siedzenia na równe stanął nogi.

— Ciebie to zadziwia?

Arnold usiadł i w milczeniu pełnem niepokoju słuchał co sir Patrik powie dalej.

— Mam silne przekonanie, ciągnął stryj Bianki rzecz dalej, że Godfryd zna wszelkie okoliczności dotyczące się nieszczęsnego losu miss Silwester.

— Czy mogę zapytać się sir, z kąd pan wiesz o tem?

— Nie czynię tajemnicy z mego podejrzenia, lecz za wiele musiałbym opowiadać gdybym ją chciał usprawiedliwić. Powiadam ci więc raz jeszcze, że jestem niemal pewny, że Godfryd posiada tajemnicę miss Silwester. Zrozumiesz zatem jaki zachodzi związek pomiędzy tą kwestją a uwagą, którą zrobiłem przy stole.

Arnold zrozumiał wszystko jak najlepiej, i zastanowił się nad tem jedynie, że skoro wykryto udział Godfryda w tej nieszczęsnej sprawie dlaczego on dotąd jeszcze tak szczęśliwie ocalał. Nie wiedział, że to zawdzięczał jedynie niedokładności swojego rysopisu, który mistres Inchbare sir Patrikowi podała.

— Zapytałem ciebie — zaczął stryj Bianki znowu — dla czego nowina o zamierzonym małżeństwie Godfryda z mistress Glenarm wywołała twoje oburzenie. Czy możesz odpowiedzieć mi na to?

— Niełatwa to odpowiedź, sir.

— Znasz zapewne ściślejsze stosunki Godfryda których my nie znamy. Czy nie tak?

— Tak jest.

— Czyliż tam zachodzi jaka styczność z nieszczęsną dółką Anny Silwester?

Arnold zawahał się, bo uważał siebie jako związanego honorem do milczenia.

— Nie mogę na to odpowiedzieć pytanie, odrzekł wreszcie po chwili.

— Więc to jest tajemnica?

— Tak.

— Jesteś honorem związany?

— Dwoście nawet!

— Jakto, aż dwoście?

— Po danych mi dowodach zaufania, Godfryd następnie pokłócił się ze mną, powinienem przeto tem bardziej jeszcze tajemnicę jego szanować.

— A powód kłótni waszej, czy także jest tajemnicą?

— Tak.

Sir Patrik spojrział mu w oczy uważnie i wyrzekł.

— Od pierwszej chwili poznania Godfryda, dziwną ku niemu powziętem niechęć. Przyznajesz także żeś zawiódł się na nim, czy jesteś zatem pewnym, że postępujesz sobie rozumnie nie powierzając mi tej tajemnicy? Czyli tego nie pożałujesz kiedy? dodał z przyciskiem, rozważ to dobrze Arnoldzie, rozważ to dobrze a potem odpowiedz.

— Jestem zobowiązany honorem!

— To i nie mamy co mówić z sobą wiecój, odrzekł sir Patrik powstając. Dobranoc! i uściśnął mu rękę serdecznie na wychodnem.

W sieni spotkał Arnold Biankę, przypatrującą się barometrowi.

— Zapowiada piękną pogodę, rzekł Arnold i ująwszy jej rękę przycisnął ją do ust. Dobranoc, najdroższa!

— Dobranoc, odezwała się Bianka i wsunęła mu karteczkę w rękę.

— Przeczytaj, gdy będziesz w swoim pokoju. Dobranoc!

XXXVII.

Barometr nie zawiódł. Słońce w dzień ślubu Bianki powstało jasne. O godzinie dziewiątej z rana narzeczeni zeszli się w bibliotece potajemnie, wbrew wszelkim formalnościom tak ściśle przez lady Lundie przestrzegany.

— Czytałeś list mój, Arnoldzie? zapytała Bianka skwapliwie.

— Przynoszę ci odpowiedź, lecz dla czego pisałaś mogąc się ze mną rozmówić?

— Dawno chciałam o tem z tobą pomówić, ale nie wiedziałam jak zacząć. Zresztą miałam jeszcze mnóstwo innych powodów, ale teraz już wszystko wypowiedziałam i żadnej nie mam tajemnicy. Stryj mówi, że uparta nie chcąc zapomnieć o Annie. Jeżeli to zdanie jego podzielasz, powiedz zanim żona twoja zostanie.

— Powtórzę ci tylko com już wczoraj sir Patrikowi powiedział.

— Cóż takiego?

— Powiedział mi to samo i zapytał: co powiem o tem po ślubie naszym.

— A ty coż odrzekłeś?

— Że pochwalam wszystko cokolwiek pod tym względem postanowisz, i szczerze pomocnym ci będę.

— O mój Arnoldzie, wyszeptła Bianka i przytuliła głowę do jego piersi.

— Mam jeszcze list do napisania — odezwał się oblubieniec do ustulając jej rękę.

— Do kogo?

— Do mojego prawnika w Edynburgu. Po ślubie wyjeżdżamy zaraz do Szwajcarii...

— I coż to za interes?

— Przesyłam mu polecenia stosowne do poszukiwania miss Silwester. Sir Patrik dał mi wskazówkę dokąd się udać.

— Ach, Arnoldzie! Czy potrafię za tę dobroć odwdziżyć ci się miłością całego mego życia?

— Chodź najdroższa bo z listem pospieszyć się muszę.

Wkrótce w pracowni sir Patrika przygotowali list, żądając w nim aby prawnik nie szczędził trudu i pieniędzy w robieniu poszukiwań i sprawozdanie przesał Arnoldowi pod adresem sir Patrika Lundie w Ham Farm.

Ceremonja ślubna odbyła się w zwykłym porządku. Dziewczęta wiejskie rzuciły kwiaty, młodzież dźwięczne poruszała dzwony za co jednych i drugich wieczorem nagrodzono sówicie. Oblubieniec wedle zwyczaju czekał w kościele zanim orszak z panną młodą przybył do niego. Gdy oblubieniec stanął przed ołtarzem rozpoczął się natychmiast obrzęd uroczysty, wiążący dwoje ludzi z sobą na życie całe na złą i dobrą dółę.

Ceremonja skończyła się bez przeszkody. Nowo-zaślubieni wpisali nazwiska swoje w księgę kościelną. Zewsząd liczne posypały się życzenia i uściski, a gdy powracali do domu słano im pod stopy barwne kwiaty. Potem podano wykwinne śniadanie, nastąpiły mowy i toasty różne, a w godzinę później młoda para spieszyła na kolej by udać się w podróż do Szwajcarii. Goście pożegnali ich wesółym okrzykiem stojąc na peronie domu.

Młodzi, szczęśliwi, bogaci, z gorącą wzajemną dla siebie miłością, błogosławieni przez rodzinę, pobłogosławieni przez kościół posiadali wszystkie warunki niezamąconej niczem pomyślności. Czyliż więc mógł kto przypuścić, że w pośród ich wiosennej miłości zawiśnie ponad ich głowami straszne pytanie: „Czy jesteście małżonkami? Mężem i żoną?”

XXXVIII.

We dwa dni potem, we wtorek dziewiątego września, nadesłał rządcza lady Lundie paczkę listów do Ham Farm odebranych z poczty. Między temi był jeden z podpisem: Master Arnold Brinkworth na ręce lady Lundie w Windygates, w Perthshire ze znakiem pocztowym Glasgow. Sir Patrik spojrział i z niezadowoleniem poznał że adres był ręką kobiety pisany.

— Lady Lundie siedziała naprzeciw niego przy stole.

— List do Arnolda — odezwał się i list ku niemu posunął.

— Znowu ta osoba! zawołała lady Lundie rzucając list na stół, i ośmiela się w moim domu i na moje ręce pisać list do Arnolda Brinkworth.

— Czy to pismo miss Silwester? zapytał sir Patrik.

— Nigdy tego nie wymówię nazwiska. Mogła mi wyrządzić obelgę przesyłając list ten do mnie, ale nie wymówię jej nazwiska choćby nawet w domu twoim, sir Patrik.

Rządcza sumiennym był człowiekiem i umieścił datę na każdym liście kiedy go odebrał. List Anny nadszedł był właśnie w dzień ślubu Bianki. Stryj jej powstał ażeby go do sekretarki schować.

— Czy nie uznasz sir za właściwe w interesie samej moralności list ten otworzyć? zapytała lady Lundie.

Sir Patrik odrzekł z uśmiechem:

— Wiadomość od niego odbierzemy zapewne za dni parę, listy zatem prześlę mu zaraz gdy będę wiedział dokąd. Odpieczętowanie więc listu pisanego do Arnolda, uważam co najmniej za niewłaściwe.

W dniu następnym nadeszła rzeczywiście wiadomość od młodej pary. Donosili o najdrobniejszych szczegółach swojej podróży, i że im radzono, ażeby zatrzymali się w Badenie i teraz nie jechali do Paryża. Do 10-go mieli tamże pozostać a potem pojechać do Szwajcarii, listy zaś wszelkie prosili aby im przesyłano do Badenu.

Sir Patrik wysłał zatem do Arnolda list Anny Silwester bezzwłocznie, a nadto i drugi który z Edynburga nadszedł i jak się zdaje był urzędowym.

Goście opuścili wreszcie Ham Farm i lady Lun-

die powróciła także do Windygates. Sir Patrika przytrzymały jeszcze różne interesa chociaż i on pragnął co rychlej do Szkocji wyjechać. Dnie przepędzał na załatwianiu różnych interesów lub też na czytaniu, wieczorem zaś rozgrywał partje pikiety z rektorem sąsiednim, który był graczem umiejętnym i posiadał nadto szacunek sir Patrika.

W przeddzień wyjazdu dziedzica z Ham Farm, tenże dostał zaproszenie na objad do rektora i to w chwili nadejścia listu od Arnolda. Zdziwiło to sir Patrika niezmiernie, bo wiedział że młody małżonek nie był wielkim zwolennikiem pisania, tem więc jeszcze gdy na kopercie przeczytał wyraz *Immediate*, a przy pieczęcie złowrogie *Private*!

— Przecież nie złego zająć nie mogło, — pomyślał i zdarł kopertę. Z niej wypadły dwa inne listy które był wysłał do Badenu, a trzeci ręką Arnolda pisany. Rozwinął go i czytać począł:

„Najdroższy stryju! Nie zatróż się, ale jestem w strasznie krytycznym położeniu.”

Sir Patrik spojrzął na datę; Baden... — i domyślił się coby znaczyły wyrazy, jestem w położeniu krytycznym — Arnold zgrał się zapewne, szepnął sir Patrik i pokręciwszy głową czytał dalej:

„Muszę wszelako uprzedzić, że wina nie ciąży na mnie, ani też na niej biedaczce.”

Sir Patrik zatrzymał się znowu. Bianka zgrała się także? No, no, a to nowiny!

„Pan wiesz, że nie znam prawa. A co do miss Silwester”....

— Miss Silwester? Cóż u licha! Co on tam pisze o prawie? poszepnął zdumiony stryj Bianki.

List zawierał co następuje:

„A co do biednej miss Silwester, ta ani mogła przewidzieć co nastąpić może. Jestem pewien, że stryj nas ocalić potrafi. Uczynię wszystko co rozkażesz a i miss Silwester gotowa każdą ponieść ofiarę. Mojej najdroższej Biance i jednego, o tem nie powiedziałem słowa ażeby jej niepokoju nie nabawić. Prawo szkockie jest niegodziwem i haniebnem a Godfryd większym łotrem, aniżeli stryj kiedykolwiek przypuścić mogłeś! Żałuję bardzo że gdy żądałeś niewypowiedziałem ci wszystkiego. Załączony list miss Silwester wyjaśnia rzecz winienem tylko stryjowi dodać jeszcze, że był u niej w Craig Fernie tegoż dnia samego, gdy opuściłem Windygates z poselstwem Godfryda. Jak to się stało Bóg jeden wie! Lecz podobno zaślubiłem ją wtedy mimo własnej wiedzy.

List wypadł z ręki sir Patrika i głowa jego pod tym nagłym ciosem obwiła na poręcz krzesła. Potem zerwał się, przebiegł pokój, list podniósł i raz drugi przeczytał. Krew uderzyła mu do głowy i już chciał całym gniewem na Arnolda wybuchnąć, lecz zastanowił się i wyrzekł:

— Dość jednego warjata! Powinienem ja przynajmniej głowy nie stracić choćby tylko ze względu na biedną Biankę. Uspokoiwszy się wreszcie cokolwiek resztę listu przeczytał. Arnold szczerze wyspowiadał w nim wszystko, począwszy od chwili gdy Godfryd go wysłał do Craig Fernie, aż do owego ostatniego w Ham Farm wieczoru.

„Postąpiłem sobie rzeczywiście jak warjat, kończył pismo swoje, przestrzegając tajemnicy Godfryda tak troskliwie. Ale, mówiąc o nim, byłbym i miss Silwester naraził. Przeczytaj stryju list jej, w którym tak szlachetnie od danego zwalnia mnie słowa. Ale coż począć teraz? Zniosę wszystko, byleby mnie tylko z Bianką nie rozłącono! Jestem w rozpacz!

Na zawsze przywiązany

Arnold.”

Sir Patrik list złożył. Wzrok jego był ponury, brew zmarszczona. Wyciągnął rękę po pismo An-

ny i przypadkowo podjął list prawnika z Edynburga.

Prawnik donosił, że poczynił zapytania w Glasgowie i odebrał wiadomość, że mistress Silwester stanęła w hotelu pod Baranią głową i chorowała tamże aż do początku września. Wiadomość o niej zamieszczona w dzienniku Glasgowskim, pozostała bez skutku. Piątego września opuściła hotel, potem wyjechała koleją lecz niewiadomo dokąd. W końcu zapytywał prawnik, co miał czynić dalej?

Wiadomość ta nader korzystne w sir Patriku dla Anny wywołała usposobienie. Usprawiedliwiała ją choroba a niedola jej budziła współczucie. Położenie jej nieszczęśliwe bez przyjaciół, opieki, bez jakiej bądź pomocy, stwierdzało jasno ono ogłoszenie w dziennikach. Wziął zatem list jej o wiele łagodniej usposobiony. I otóż co pisała:

Glasgow 5 września

Szanowny Panie Arnoldzie Brinkworth.

„Przed trzema tygodniami zaczęłam list pisać do pana, gdy mnie nagła i gwałtowna napadła choroba. Byłam przez czas bliższą śmierci jak życia. Przedwczoraj wstałam trochę po raz pierwszy, wczoraj posiedziałam chwilę, a dziś już pióro utrzymać mogę i piszę. Listem moim wiem że cię przerażę, ale to na nieszczęście inaczej być nie może.

„Przypomnij sobie dzień ów nieszczęsny, w którym Godfryd Delamayn wysłał cię do Craig Fernie, i przypomnij sobie ilem cierpiała, że uchodziłeś tam za męża mojego. Bez wywołania skandalu nie podobna było temu zaradzić zwłaszcza, że ten byłby z pewnością doszedł wiadomości Bianki.

„Przeczuwałam ale dobrze nie wiedziałam w jakie sam poddajesz się niebezpieczeństwo. Bo wiedząc byłabym się raczej naraziła na wszystko, przysięgam na pamięć ukochanej matki i na miłosierdzie Boże, niż na wplątanie cię w tak okropne położenie...

„Oddaliłeś się nazajutrz i nie widzieliśmy się więcej. Niepokojem trawiona, nie umiając sobie poradzić inaczej, przybyłam do Windygates by widzieć się z Bianką. W bibliotece na nieszczęście spotkałam się sam na sam z Godfrydem, i ten postąpił sobie ze mną okrutnie. Powiedział mi, że wie wszystko co pomiędzy nami zaszło w Craig Fernie, że zasięgnął rady prawnika i że... O, panie Arnoldzie, jakżeż napisać to, co koniecznie wiedzieć musisz? Straszne to wyznanie ale odmówił zaślubić mnie... ponieważ jestem żoną Arnolda Brinkworth!

„Możesz mi złorzeczyć, jestem niewinna, ale przez błąd swój sprowadziłam to nieszczęście na ciebie. Czuję zawrót głowy, łzy płyną obficie, muszę przerwać na chwilę pisanie...

„Złamana, potępiona, czuję się jednak wyższą od niego, i gdyby w tej chwili stanął przedemną skruszony, żałujący i ofiarował mi rękę swoją, imię, majątek, stanowisko, wołałabym raczej pozostać jak jestem, jak zostać żoną takiego nędznika.

„Chciałam widzieć się z panem w Windygates i pomówić o wszystkim, ale byłam słaba, cierpiąca a potem co mi powiedział ten nikczemnik, zemdlałam... Przyszedszy do siebie, ujrzałam się w objęciu Bianki... Ogarnęła mnie o jej przyszłość trwoga straszliwa. Pragnęłam uciec gdzieś w najdalszy zakątek ziemi, ukryć się sama przed sobą i jakby w obłąkaniu uciekłam z Windygates.

„Podróż uspokoiła mnie nieco niby przejrzałam i widziałam jaśniej. Stanawszy też w Glasgowie dwóch natychmiast poradziłam się prawników, któ-

rzy różnią się w zdaniach, co do nieszczęśliwej kwestji, czy jesteśmy zaślubieni według praw szkockich lub nie. Jeden wyrzekł, tak, a drugi nie, i kazał mi bezzwłocznie o wszystkim powiadomić pana. Wzięłam się zaraz do napisania listu ale maza chorowała ciężko i długi czas nie wiedziałam co się ze mną działo.

„Dzięki Bogu, że zwłoka ta nie stała się szkodliwą, gdyż mówiła mi Bianka, że ślub wasz dopiero w jesieni nastąpi. Pozostaje zatem jeszcze dosyć czasu, ażeby zapobiedz przykrem z tego następstwom.

„Z listem tym udaj się panie Arnoldzie do sir Patrika i list mu mój pokaż. Uczynię wszystko jak on poradzi bez względu na mnie. Przywiązanie moje do Bianki byłoby obłądą, gdybym się każdemu nie poddała następstwu. Byłeś dla mnie ponad wszystko względnym, dobrym i szlachetnym; przechowałeś tajemnicę moją jako człowiek honoru, któremu nieszczęśliwa kobieta swoją powierzyła sławę. Teraz zwalniam cię jak najzupełniej z milczenia, a nawet błagam na kolanach, wyjaw prawdę całą! Zwolnij sam siebie z danego słowa, a potem spojrzysz z politowaniem na kobietę, która ci mimowoli tyle złego sprawiła. Zaręczam ci nadto, że wielką ofiarę z siebie dla waszego dobra poniosę chętnie, bo im ta będzie większą, tym prędzej odzyskam tyle upragniony spokój duszy, którego brak tak mnie niewymownie udręcza.

„Nie wiem co zrobisz po przeczytaniu tego listu, nie wiem nawet czyli Godfryd uprzedził pana o tem nieszczęsnem położeniu naszym, ale sądzę, że sprawa ta wymaga ażebyśmy się osobiście porozumieli. Wreszcie wyślij do mnie osobę której ufasz zupełnie, albo pomów ze mną w obec wybranego przez siebie świadka. Potrzeba wszelako ostrożności wielkiej, bo ten niegodziwy, który na naszą czycha zgubę, zapewne każdego chwyciłby się sposobu, by nas w oczach Bianki spotwarzyć. Ostrożność zatem konieczna abyśmy znowu nie wpadli w jakie fałszywe położenie.

„Załączam bilet z adresem prawnika master Krum. Nie wiem jeszcze gdzie się schronię, lecz on będzie wiedział gdziekolwiek zamieszkam i powiadomi o tem sir Patrika.

„Po tylu doświadczeniach nieszczęściach, stałam się bardzo podejrzliwa i lękam się zostać w Glasgowie. Gdy nieco wrócą mi sily, opuszczę miasto w cichości i zamieszkam gdzieś w okolicy. Nie trwóż się o byt mój, mam na teraz pieniędzy dosyć, a później potrafię na utrzymanie swoje pracować.

„Nie załączam dziś i jednego dla Bianki wyrazu, gdyż nie śmiem tego zrobić dopóki ta cała nie zakończy się sprawa. Gdy zostanie żoną pańską, pocałuj ją i powiedz, że to od Anny.

„Przebac mi, panie Arnoldzie!

Anna”.

(d. c. n.)

N. 1 i 26. Suknia z karoczką dla małej dziewczynki.

N. 1, przedstawia przód sukienki, z jasno popielatą alpagi, u dołu ozdobionej wolantem prostym, plisowanym w jedną stronę 8 cent. szerokim. Nad wolantem dwie pliski 4 i pół cent. szerokie z błękitnego kaszmiru, haftowane ściąganiem długim, jedwabiami w kolorach tureckich, lub popielatego odcieniu. Staniczek z szelkami i karoczką, ozdobiony falbanką 2 i pół cent. szeroką i pliskami,



N. 1. Suknia z karoczką dla małej dziewczynki. Ryc. 26 (Plecy).

N. 2. Sukienka z karoczką w kształcie patek. Ryc. 25 (Przód).

N. 3. Ubranie dla chłopczyka. Spódniczka kaftanik ryc. N. 23 i 24.



N. 4. Uczesanie w grube warkocze. (Przód).

tę co przy spódniczce szerokości. Pasek także pliską ozdobiony.

N. 26. Przedstawia plecy tegoż staniczka na guziki zapinane, gładki rozcinany karoczek i układ kokardy przy pasku.

N. 2 i 25. Sukienka z karoczką z patek.

Sukienka wełniana w kliny, przybrana 3. cent. szerokości plisami aksamitnymi, w ciemniejszym kolorze, zakończona w górze wypustką z tej co sukienka materji lub ruszą 1 i pół cent. szeroką; u dołu plis przyszywa się frendzla jedwabna. Staniczek z kwadratowym wykojeniem, przystrojony szelkami i karoczką, z 4 od-



N. 6. Stanik bluzkowy z kłapkami.

dzielnych kłapek, które z przodu przyszywa się zupełnie gładko, z tyłu cokolwiek przyszywa.

Układ i przybranie stanika, jako też przyszywanie szelk i karoczki podaje N. 25 z przodu. N. 2 przedstawia takąż sukienkę, z tyłu i wskazuje, iż plisa aksamitna na plecach powinna być nie w kształcie bretelek, lecz w koło wykrojona naszyta.

N. 3, 23 i 24. Ubranie dla chłopczyka.

Na ten rodzaj ubrania najwła-

ściwsze jest cienkie sukienko, atlas wełniany lub kaszmir. Model z brązowego wełnianego atlasu, składa się z osobnej fałdowanej spódniczki, kamizelki i kurtki, wyszytych czarną wełnianą plecionką i sznurowadłami. Spódniczka z przodu zapinana, 40 cent. długa, powinna mieć 300 cent. szerokości; w górze układa się z tyłu w fałdy płaskie 8 cent. głębokie z przodu, 7 cent. głębokie i wszywa w pasek dodając elastyczne szelki. Taką spódniczkę przedstawia N. 24. Gładki z przodu otwarty kaftaneczek, u dołu zakończony 5 podwójnymi patkami,



N. 5. Uczesanie w grube warkocze. (Tył).

z tych dolne większe powinny mieć około 12 cent. długości; zwierzchnie na nich przyszyte są o 2—3 cent. krótsze, czarnymi sznurowadłami guziczkami naszyte. Na takich guziczkach zapięta jest kamizelka. N. 23. Przedstawia sam zwierzchni kaftaneczek.

N. 4—5. Uczesanie głowy z grubymi warkoczami.

Przy dużych włosach, uczesanie takie obejdzie się bez żadnych dodatków szynionów przy małych, potrzeba je dodać. Włosy dzielą się w poprzek na czubku głowy, część tylną zczesuje się i wiąże jak można najwyżej; potem część mniejszą odbiera się na war-



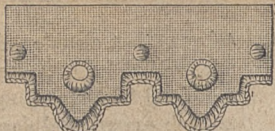
N. 7. Stanik pod szyję z plisowanymi szelkami.



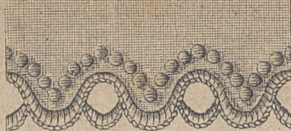
N. 8. Stanik pod szyję z chusteczkowym żabotem i rękawkami.



N. 9. Brzeżek haftowany atłaskiem.



N. 10. Brzeżek haftowany.



N. 11. Brzeżek haftowany



N. 12. Brzeżek atłaskiem haftowany.



N. 13. Brzeżek atłaskiem haftowany.



N. 14. Brzeżek atłaskiem haftowany i podłożeniem niewarowem płótnem.



N. 15. Brzeżek. Atłasek i podłożenie z płótna niewarowego.



N. 16. Brzeżek atłaskiem haftowany.



N. 17. Brzeżek. Atłaskiem haftowany z podłożeniem kolorowem.



N. 21. Szlaczek. Dzierganie i haft luzny.

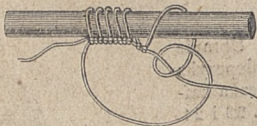
Część dolną ułożyć należy przez warkocz, z reszty zaś wszystkich pozostałych ułożyć paski środkiem głowy.

N. 6. Stanik bluzkowy z wyłożeniami kłapkami.

Pod bluzkę z podłużnym wykresem konieczna jest szmizetka pod szyję. Podana na rysunku składa się ze wstawek koronkowych, haftowanych, muslinowych plisek i wązkiej koroneczki. Czarny aksamitny kołnierzyk z kłapkami, podszyty jest materją kolorową i osztyt czarną 2 i pół c. szeroką koronką. Zwykle paleotowe rękawy zakończone są falbaną, mającą 48 cent. obwodu dolnego, przy otwartych skośno ściętych brzegach 10—13 cent. szeroką, ku środkowi trochę zwężoną, którą przymarszczywszy w górze przyszywa się do rękawa.

kocz, ułożony z przodu w djadem, z części zaś większej splata się warkocz opasujący głowę z tyłu.

Włosy pozostałe z przodu, dzieli się na środku a następnie z każdego boku na dwoje. Część mniejsza górną podwija się na skroni na podkładkach lub bez nich, a końce przyciska warkoczem.



N. 23. Robota długich pikotów do barbki N. 27.



N. 23. Kaftanik do ubrania dla chłopczyka ryc 3.

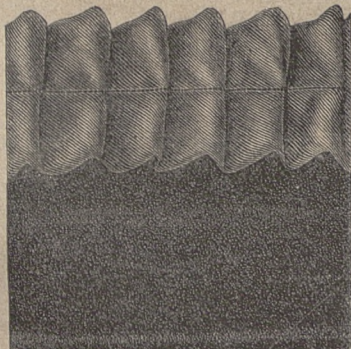


N. 25. Sukienka z karoczekiem, w kształcie patek do ryc. 2. (Przód).

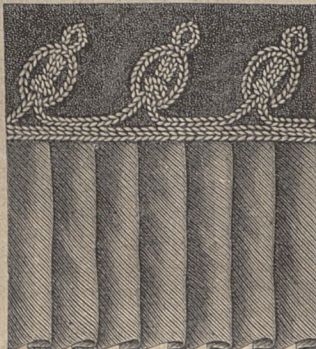
Falbana ta oszyta jest 2 i pół cent. szeroką plisą aksamitną i koronką. Kokardy z tego co suknia materiału zdobiące rękawy i stanik, powinny być objęte aksamitem; pasek i szarfy mogą być aksamitne lub tylko aksamitem objęte.

N. 7. Stanik pod szyję z plisowanymi szelkami.

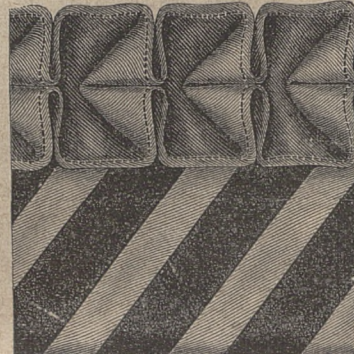
Na staniku zapinanym pod szyję na guziki, układają się plisowane szelki, z tegoż co suknia materiału i koloru, w odcieniu jaśniejszym, albo wreszcie z odpowiedniej jedwabnej materji. Dwa skośne 38 cent. szerokie kawałki, układa się i zaszywa w fałdy; końce spiczasto podług nitki ścięte, ozdobione wysiepaną frendzelką z przodu



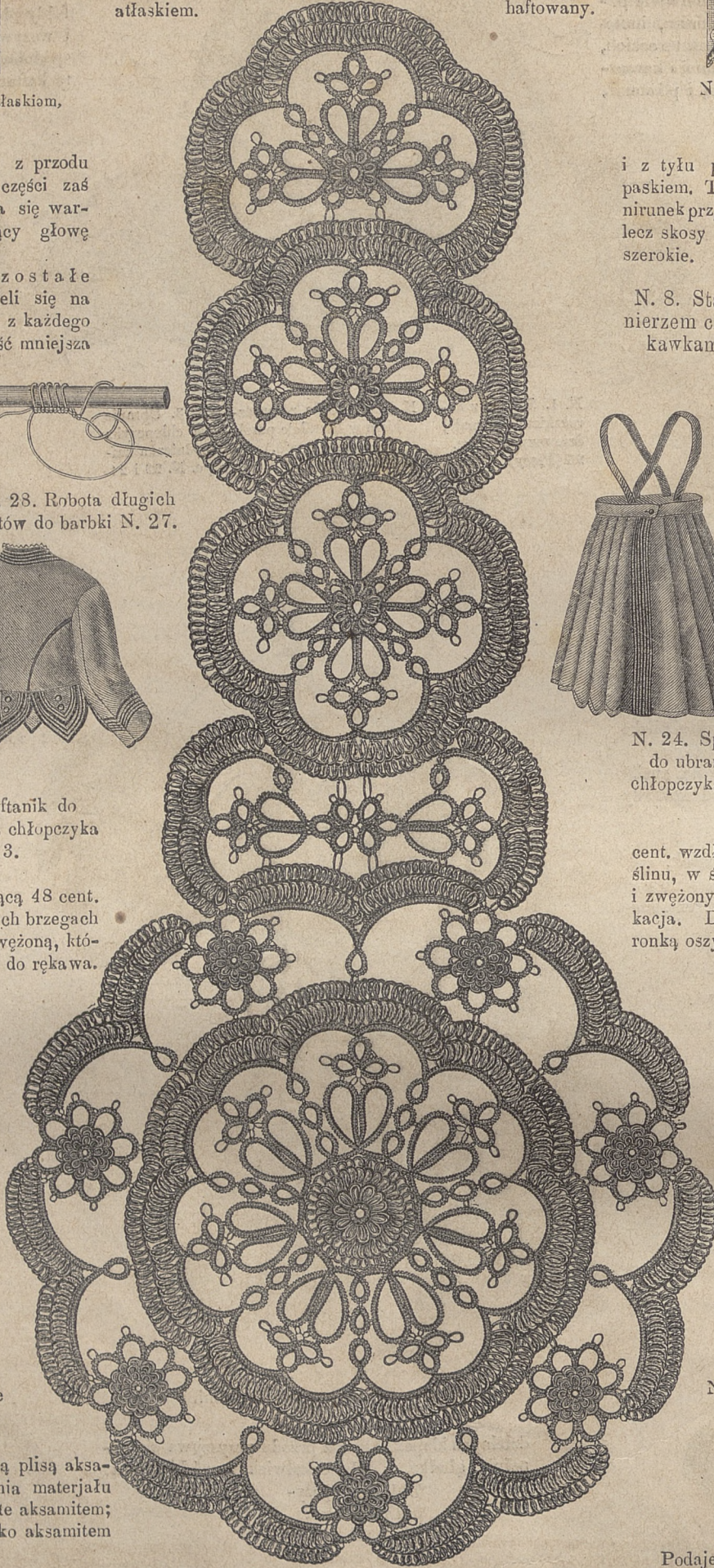
N. 29. Garnirunek do sukni z aksamitu i ruszy jedwabnej.



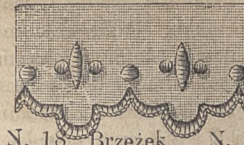
N. 30. Garnirunek do sukni z plisowanej materji i wyszycia sutazem.



N. 31. Garnirunek do sukni z materji w paski i z gładkiej ruszy.



N. 27. Barbka frywolitowa. Patrz wykonanie ubrania sukni i opis pod N. 41—42.



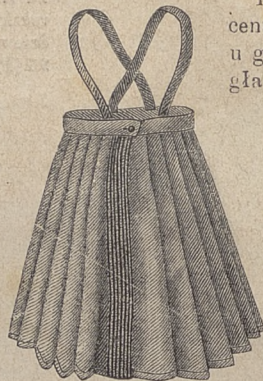
N. 18. Brzeżek haftowany.



N. 19. Brzeżek haftowany.

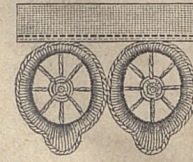
i z tyłu przyciskają się paskiem. Także sam garnirunek przyszywa rękawy lecz skosy są tylko 22 c. szerokie.

N. 8. Stanik pod szyję z kołnierzem chusteczkowym i rękawkami odpowiednimi.



N. 24. Spódniczka do ubrania dla chłopczyka ryc. 3.

Kołnierzyk 2 i pół cent. szeroki z przodu, u góry i u dołu okrągława ścięty, z tyłu



N. 22. Brzeżek. Haft z ażurem.

chusteczkowym, 4 i pół cent. długim rogami zakończony, przyozdobiony jest aplikacją haftu atłaskowego i oszyty w koło koronką plisowaną 2 i pół cent. szeroką. Do kołnierzyka dodane są plisowane końce, na które potrzeba dwóch kawałków muslinu u dołu 27, w górze 23 i pół cent. długich a 8 centym. szeroki, które w górze ściągają się skośnie, aby brzeg tylny miał tylko 4 cent. szerokości. Końce te oszywają się z trzech stron koronką, z czwartą układają w płaskie fałdy i przyszywają na 8 cent. wzdłuż kołnierzyka. Rękawek stanowi pasek muslinu, w środku 3 cent. szeroki, ku zeszytciu zaokrąglony i zwężony, który równie jak kołnierzyk przyozdabia aplikacją. Do niego przyszyta jest plisowana falbana, koronką oszyta w środku 2, w końcach 4 cent. szeroka.

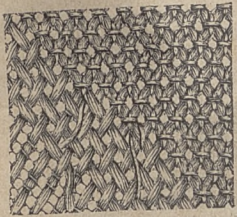


N. 26. Sukienka z karoczekiem. (Plec do ryc. 1).

N. 9—22. Rozmaite szlaczki. Haft atłaskowy.

Podajemy rozmaite szlaczki haftowane atłaskiem, supelkami, sznureczkiem, ścięciem gipsiowym jak na N. 22, długim, przewłóconym jak N. 21, lub też dziergane. Szlaczki te służą mogą do wszelkiego rodzaju bielizny, lub do ubrań dziecięcych; na ten ostatni cel można w robocie mieszać bawełnę białą z pasową lub z cienkim jedwabiem czarnym. Tę między dzierganiem należy podkładać batystem lub płótnem webowem, niewarowem albo nawet cały szlaczek na tle niewarowem odrobić, do czego najstosowniejszy jest deseń N. 21. Grecki szlaczek środkowy z dwóch rzędów ścięgu długiego, odrobić dwoma odmiennymi, jasnymi kolorami bawełny lub

jedwabiu, sparzonego przed robotą; stębnówka może być biała, dziergane zaś ząbki na przemian białe i pąsowe.



N. 32. Wyszycie na tiulu do ryc. 29. w T. Mód. N. 17.

N. 23 i 24. Kątanik i spódniczka dla chłopczyka.

Opis i rycina N. 3.

N. 25. Przód sukienki opisaney pod N. 2.

N. 26. Tył sukienki opisaney pod N. 1.

N. 27, 41 i 42. Pasmanterja do sukni. Robota frywolitowa.

Podana pod N. 27 barbka czyli szarfa frywolitowa, w naturalnej wielkości, służyć może zarówno do przystrojenia sukni, zastępując piękną pasmanterję, jak i na barbkę do czepeczka w miejsce koronki. Wzór na ten cel użyty, odrobiony jest z najcieńszego czarnego jedwabiu i do takiego zastosowany jest rachunek podwójnych węzełków. Chcąc

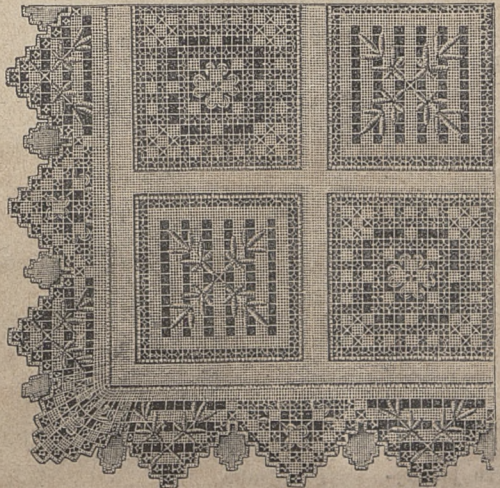


N. 36. Okrągły kapelusz z woalką.

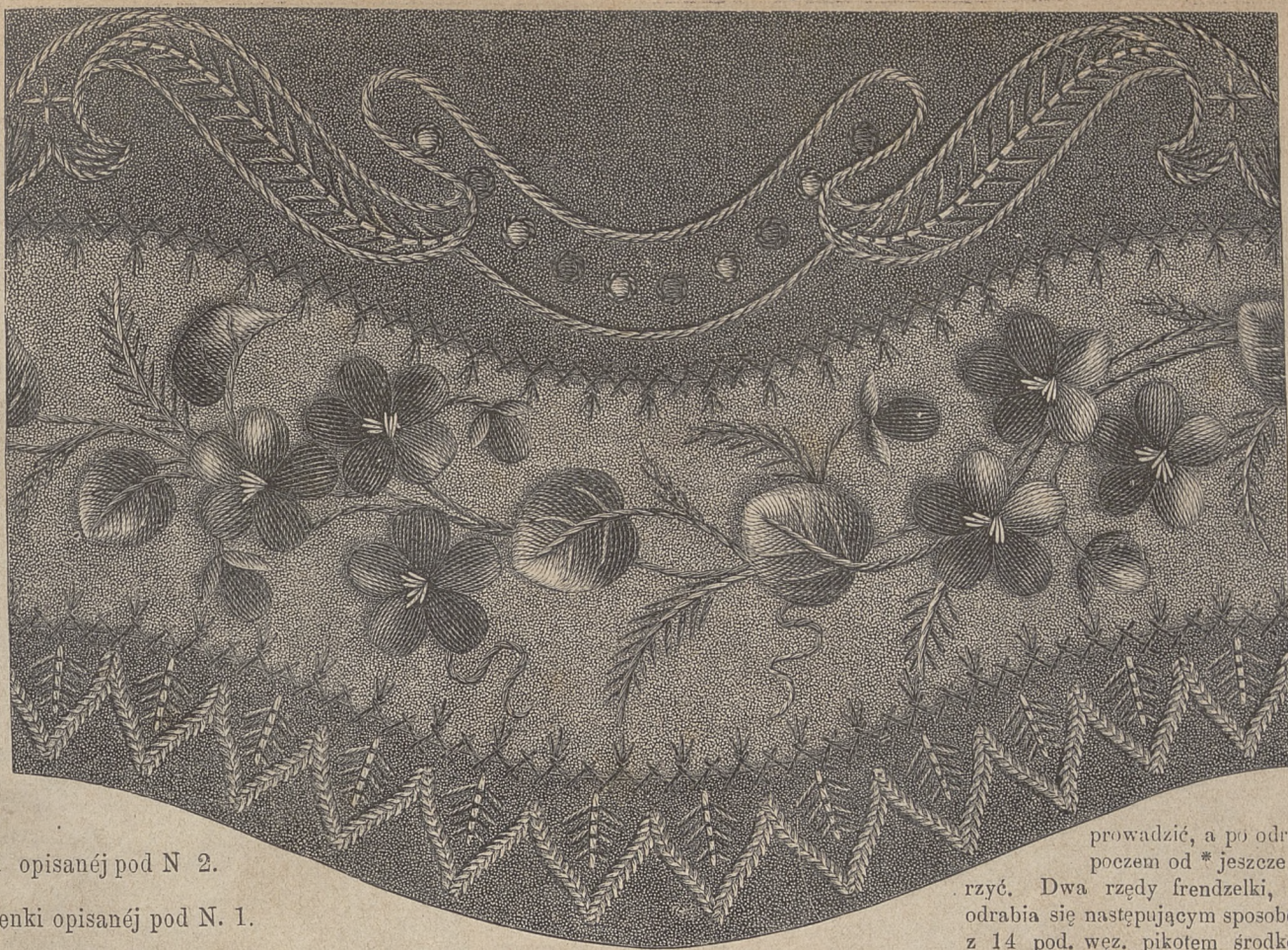
Drugi z tych owali robi się tak samo lecz przeciwną koleją p. węz. i pikotami. Teraz przeprowadza się nitkę roboczą pod spodem owali, przez górny p. i odrabia się będący po nad nim listek konieczyny, złożony z 3 owali, połączonych p. każdy z 20 pod. węz. 3 p. z wyjątkiem owalu środkowego, który w pośrodku ma 2 p. przedzielone pod. węz.; pierwszy z tych p. jest krótki drugi zaś b. długi. Potem nitka robocza przewiązuje się przez p. górny owali, powraca do dołu i zarzuca się na niej nitkę pomocniczą 6 pod. węz. przedzielonych środkowym pikotem i znów samą nitką roboczą odrabia 2 małe, jeden nad drugim za pikoty przyczepione owale. Dolny z nich liczy 14 pod. węz.

robić przybranie do sukni z jedwabiu grubszego, potrzeba odpowiednio zmniejszać liczbę pikotów i pod. węzełków.

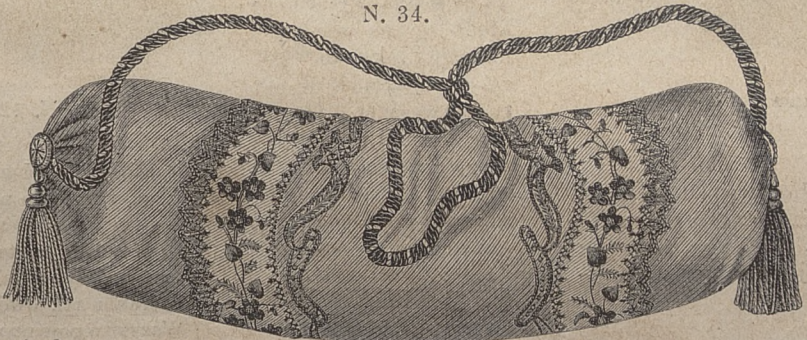
Największa rozeta stanowiąca środek lub brzegi (stosownie do celu na jaki robota ma być użyta) zaczyna się od wewnętrznego, środkowego rzędu, dwoma nitkami. Robi się naprzód nitką roboczą * 6 pod. węz. przedzielonych 1 długim p. w środku, potem nitką pomocniczą 2 zamknięte owale, połączone z sobą za 2 boczne p. złożone z 14 pod. węz. 1 p.; 11 pod. węz. 1 p.; 5 pod. węz. 1 p. dołączenia, 10 pod. węz. 1 p. do złączenia i 10 pod. węzełków.



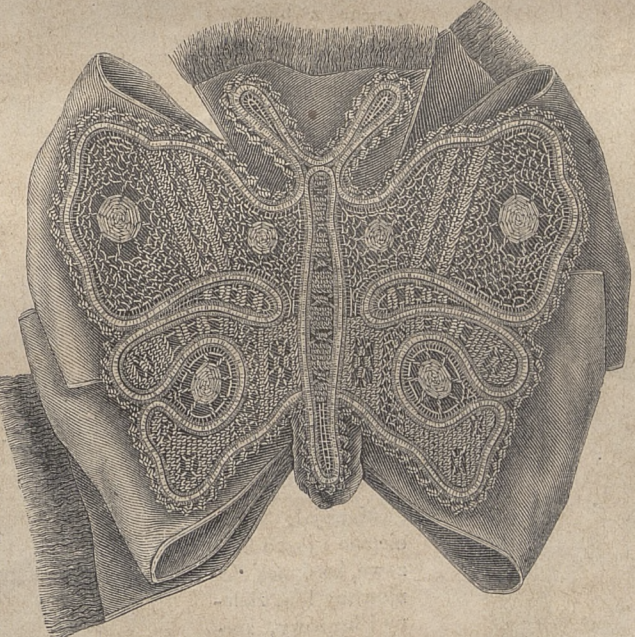
N. 39. Układ serwetki z gipsiowej siatki wszywaney w płótno.



N. 35. Haft na suknie w dwóch cieniach do wałka N. 34.



N. 34. Wałek pod głowę. Haft na suknie w dwa cienie.



N. 38. Kokarda z motylem. Koronka irlandzka.

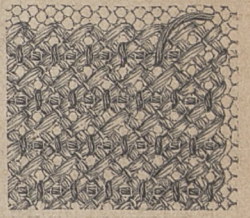
w o du, w sposób pod N. 28 wskazany. Drugi dolny rząd frendzli, składa się z zębów o długich p., przedzielanych podw. węz. i przyczepia w rogach i w pośrodku każdego zęba do p. rzędu poprzedzającego. Nakoniec rząd ostatni składa się z 7 pojedynczych gwiazd przedzielanych zębami z 2ch rzędów frendzli. Każda gwiazda składa się z 8 połączonych listków, każdy listek z 12



N. 37. Kapelusz do wiązania z końcami.

pod. węz., 3 p. oddzielanych 6 pod. węz. i znów 12 pod. węzełków. Zęby czyli łuki oddzielające gwiazdy w rzędzie górnym, składają się z 20 na wałeczku zrobionych pikotów, oddzielanych pod. węz., 6 pod. węz.; z 1 owalu z 14 pod. węz. przedzielonych 1 długim p. za który łączą się z frendzlą górną 6 p. w. i znów 20 po. w. przedzielanych pikotami na wałeczku. Drugi rząd otrzymuje 24 p. 6 pod. węz., 1 p. za który łączy się z rzędem poprzedzającym, 6 pod. węz. i 24 przedzielanych p. Środek rozety i 7 gwiazdek zapełniony jest trzema rzędami frendzelki, wychodzące

prze dzie lo nych 1 środkowym pikotem; górny także z 14 pod. węz. złożony, oprócz środkowego ma jeszcze 2 boczne p. które mi połączony jest z długimi, podwójnymi pikotami. Zro-



N. 33. Wyszycie na tiulu do ryc. 29 w Ty. Mód N. 17.

bić go można oddzielnie i przyrobić do poprzedniego albo też nitkę roboczą od dolnego owalu spodem przeprowadzić, a po odrobieniu na dół przewlec, poczem od * jeszcze 6 razy wszystko powtórzyć. Dwa rzędy frendzelki, otaczające środek rozety odrabia się następującym sposobem: rząd górny * 1 owal z 14 pod. węz. pikotem środkowym połączony z tejże wielkości owalami poprzedzającego rzędu; potem przybraną nitką pomocniczą 6 pod. węz. 1 długi p., 4 pod. węz. 35 długich p. stanowiących frendzlę, przedzielanych pod. węz.; 4 pod. węz. 1 p., 6 pod. węz. *. Zęby te z pikotów czyli frendzli przyczepiają się środkami, do środkowego listka konieczyny i powtarzają w około. Chcąc ażeby frendzla była jednej długości, robić ją trzeba na wałeczku lub ołówku, mającym pół cent. ob-

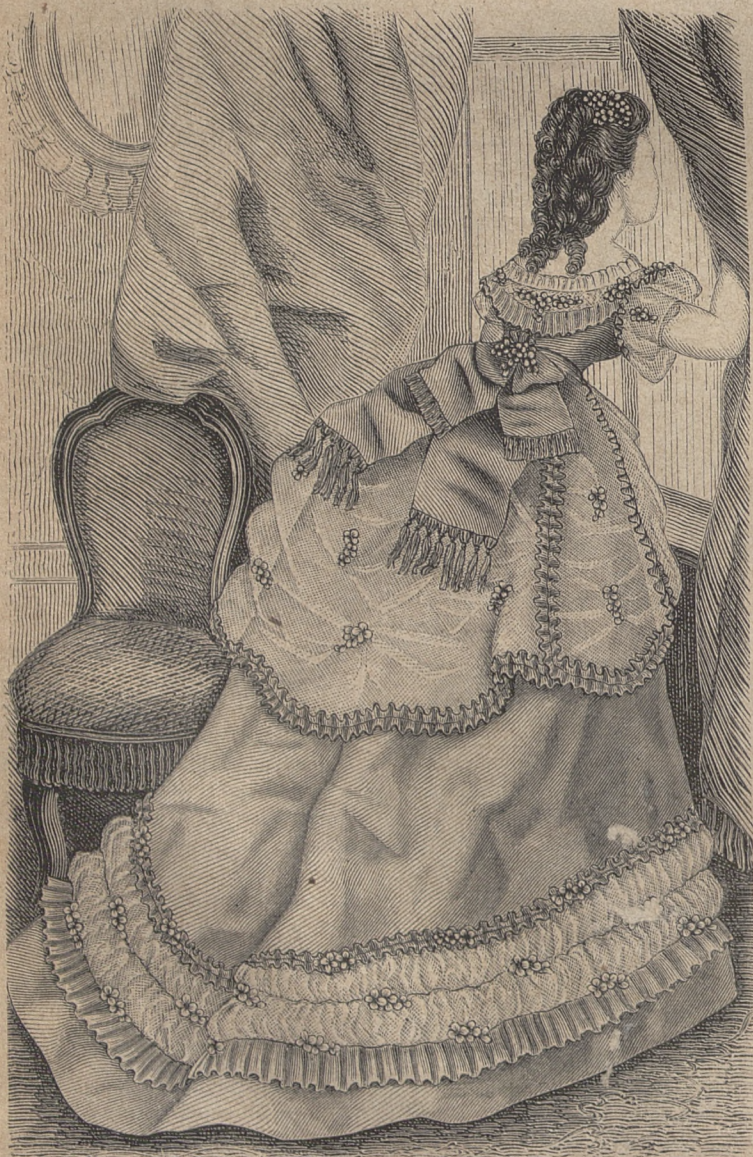
N. 40. Haft na kratkowanym płótnie na serwetki itp.

mi jeden z pod drugiego. Każdy rząd odrabia się osobno następnie spaja z poprzednim i osobną nitką jedwabną przyczepia do rozety i gwiazd; zwiększa



N. 41. Barbka frywolitowa jako przybranie sukni. Patrz N. 27.

szającą się liczbę pikotów można obliczyć podług rysunku. Dalsze w przedłużeniu idące figury, także niepotrzebują opisu, bo podług tego cośmy powyżej powiedzieli, każda wprawna ręka sama odrobić je potrafi. Figura 41 i 42 wskazuje użycie takiej pasmanterji do przystrojenia stanika i karoczek.



N. 43. Wieczorowe ubranie.

N. 28. Wykonanie pikotów do zakończenia barbki.

N. 29—31. Trzy garnirunki do sukien, spódniczek, fartuszków i t. p.

Garnirunki te odrobione być mogą z materji wełnianej w dwóch cieniach, wełnianej z aksamitem, lub z materji jedwabnej i aksamitu.

N. 29. Garnirunek z aksamitu i riuszy jedwabnej lub wełnianej.

Szeroka, skośna, aksamitna plisa zakończy się w górze ruszą dubeltową z tej co sukni materji. Brzegi zakładają się spodem do środka i rusza przystembnowywa środkiem do sukni. Taką ruszę można dać nad szerokim obrębem, plisą z materji gładką lub w płaskie tałdy ułożoną.

N. 30. Garnirunek plisowany z aksamitem i z wyszyciem z szutąszu.

Plisowanie z czarnego jedwabnego rypsu lub tego co sukni wyrobu, uклада się na sztywnym muszynie i zakłada w górze plisą aksamitną, szutąszem wyszytą. Do dobrych materji wełnianych nie potrzeba dodawać materji lub aksamitu, tylko nad plisowaniem dać pasmanterję jedwabną.

N. 31. Plisa w paski z riuszą w jednym kolorze.

Plisa w paski czarne z białym, lub jakim innym kolorem, używaną bywa szczególnie do sukien czarnych i wówczas rusza powinna być czarna.

N. 32 i 33. Wyszyte na tiulu do pokrycia neseserki.

Ryc. 29 w Ty.
Mód N. 17.

N. 34 i 35. Wałek pod głowę. Haft na suknie.

Materiał: Sukno ciemno i jasno brązowe, kordonek cieniowany lila, zielony i brązowy, kordonek w trzech cieniach, żółte, brązowe i czarne, złoty i jasno brązowy sznur kręcony.

N. 35. Deseń na wałku. Wielkość naturalna. Powyższy deseń na suknie w dwóch odcieniach służyć może nie tylko na wałek pod głowę lecz zarówno i na meble lub portjery. Tło stanowić powinno sukno ciemniejsze, szlak zaś haftuje się na kolorze jaśniejszym, ściągając płaskim, wycina w że-

bę wyginane i z lewej strony prasowywa. ki ze środkiem tym i liście zielone cieniowane z tłem brązowym



N. 42. Barbka frywolitowa jako przybranie sukni. Przód. Patrz N. 27.

ronkami i gałązkami, dobrze odbijają na tle brązowym. Wazkie szlaczki wyszyte na spojeniu sukna, odrabiają się ściąganiem przewłóczonym i cierniowym; za temi na tle ciemniejszym idzie wyszyte sznurem. Tu użyte są kolory brązowe do cienia, jedwab czarny i sznurek złoty. Cała piękność tej roboty zależy głównie na stosownym dobraniu tak dwóch cieni sukna jak i kolorów brązowego kordoneku. Wszystko powinno harmonizować z sobą i stanowić niejako stopniowanie jednego cienia.



N. 44. Ubranie spacerowe.

Opis dodatku do N. 14.

N. 20. Koszula nocna dla kobiet.

Koszula ta, różni się od nocnej męskiej, klinami i wycięciem pachy. Rycina tak dokładnie daje wyobrażenie zakładki przodu, że niepodajemy szczegółowego opisu. Kołnierzyk stojący i klapka w rodzaju żaboty, ma wydziergane w podwójnem płótnie zęby i wrobioną koronkę irlandzką.

N. 21. Kaftanik ranny, krój i opis na dod. N. XIII, fig. 39—41.

N. 22. Czepek negliżowy z prostym paskiem.

Muślinową siatkę ozdabiają przezroczyste wstawki z irlandzkiej koronki, frywolitkowe gwiazdy, albo tiul wyszywany w desenie. Tiulowa rusza 90 c. długa, koronką oszyta, w środku 8 c. a na końcach 5 c. szeroka, przepięta kolorową aksamitką, tiulową wstawką pokrytą, stanowi ubranie w około czepek, i spada w bandażach. Kokarda atlasowa z aksamitką tkwi po nad czołem; mniejsze nieco kokardki zakończone barby.

N. 23. Czepek negliżowy z rondkiem.

Siatkową formę, dopełnia rondko tiulowe, drutem oszyte, z zębem na przodzie 30 c. długie, 10 c. szerokie. Rondko to objęte kolorową wstążką, ma bufę tiulową w deseń, przybraną 3 c. szerokim neżykiem tiulowym i koronką marszczoną 2 i 3 c. szeroką. Tiulowa bufa 86 c. długa, $3\frac{1}{2}$ c. szer. kolorową wstążką atlasową podwleczoną, daje się jako barbkę oszytą szeroko i wąską koronką. Atlasowe kokardy uzupełniają całość.

N. 24—25. Dwa nocne kaftaniki haftowane. Opis i krój na dod. N. VI, fig. 17 i 21.

N. 26—27. Marynarski kołnierzyk z mankietem. Krój i opis na dod. N. XVII, fig. 53 i 55.

N. 28—29. Dwa męskie kołnierzyki z krawatkami. Krój i opis na dod. N. IX, fig. 27 i 29.

N. 30 i 73—74. Staniczek na gorset. Krój i opis na dod. N. VII, fig. 22 i 24.

N. 31—32 i 73—74. Staniczek na gorset wycięty. Krój i opis na dod. N. XIV, fig. 42 i 46.

N. 33—34. Kołnierzyk z szmizetką i rękawkiem. Krój i opis na dod. N. XVI, fig. 51 i 52.

N. 35—36. Szmizetka z rękawkiem. Robota w tamborku. Krój N. XVI, fig. 51 i 52.

Deseń podany na formie łatwo przenieść na batyst i wyhaftować nie tylko strojną szmizetkę, ale całą bluzkę, dopełniając ją ozdobnym rękawem, który łatwo również podług deseni przyrządzić. Znana szydełkowa robota na rozpiętym w tamborku batystcie, uwalnia nas od objaśnień.

N. 37. Czepek nocny na drutach robiony.

Czepek ten na grubych stalowych drutach z grubej bawełny „patentowym ściegiem“ odrobiony, zastosowuje się do wielkości głowy i naciąga kolorową wstążką. Robota zaczyna się na 24 oczek od środkowego pasa i robi tam i napowrót, póki boczne oczy nie dojdą 38. Te, nabierają się jak w robocie „pięty“ na druty, i robota idzie równo z poprzednimi oczkami, od brzegu do brzegu. Po 20 rzędach podwójnych idą 3, które się dla zaokrąglenia skracają po bokach o 8 oczek. Wkoło dana jest koroneczka z dziurkami, przez którą się wstążeczka związana w kokardkę nad czołem przewłóczy.

N. 38. Czepek nocny siatkowy.

Najwpierw nakłada się 25 oczek i przerabia odwracając ciągle dotąd, póki siatka niedojdzie do tyłu rzadków, ile liczy węzłków oczkowych. Wkoło tego kawałka, obrabiają się następne rzadki. Po odrobieniu ich 25 na wałeczku, przemienia się go na deseczkę, dla sformowania szerszych oczek na podwleczenie wstążeczki, poczem powraca wałeczek. Po dwóch gładkich rzadkach, następuje nowy, w którym w każde drugie oczko poprzedniego rzędu, wrabia się po pięć węzłków. Zawsze jedno i to samo oczko opuszczając, przez cztery rzędy, coraz się zmniejsza liczba węzłków, póki w ostatnim rzędzie nie wypadnie tylko jeden.

N. 39. Czepek nocny. Krój na dodatku N. XIX, fig. 57, połowa czołka czyli rondka.

Od ukośnego złożenia w środku aż do krzyżyka, część główki zostaje gładka, reszta się marszczy i podwójnemi brzegami czołka obejmuje. Tasiemki w tyle ściągają główkę; przyszyć je trzeba w odstepie 9 c. od tylnego szwu rondka na podszewce jego, dając w wierzchu dziurki do przeciągania. Szlarka 2 c. szer. plisowana, z koroneczką, daje się aż do ściągania w tyle. Gwiazdka i podwójna kropka, oznacza przyszyć bandaż. Główna jeśli włosy nie są bardzo duże, powinna liczyć 30 c. średnicy.

N. 40. Czepek nocny z prostym rondkiem. Krój w dodatku N. XX, fig. 58, połowa rondka.

Rondko proste pojedyncze, wymaga takiego paska 21 c. długiego a 9 c. szer. stanowiącego obręb, ściągany w tyle. Na tenże oddziela się 30 c. z główki, która z przodu w gwiazdki gładko przyszyta, dalej się marszczy. Bandaże 6 c. szerokie a 70 c. długie, związywać można na kokardę w górze. Wązki przystębnowane pasieczek, pokrywa przyszyć główki do karczka. Podobny pasek przytwierdza 5 c. szeroką riuszkę batystową z koroneczką.

N. 41—44. Cztery fartuszki dla dzieci.

N. 41. Fartuszek haftowany.

Fartuszek ten muślinowy ściągany w pasie, ozdabia szlaczek w zęby z 1 c. szer. haftowanój wstawki uformowanój; koroneczka otacza go w koło. Model składa się z trzech prostych tylko w bocznych szwach ściętych brytów, które paskiem objęte, mają po nad pachą epoletki. Szeroka szarfa przepasująca figurę i kokardki na epoletach, odpowiadają wstążce we włosach.

N. 42. Fartuszek z ramiączkami.

Pół batystowy z tyłu zapinany fartuszek prostą bardzo formą, ma karczek i ramiączka z przezroczystego zakładkowego materiału. Szeroki obręb u dołu, dopełnia całości.

N. 43. Fartuszek z frywolitkami.

Fartuszek z niewarowego wyrobu „écru“, przez przyszyć ramiączek do karczka, formujący wycięty kwadrat, ma po nad obrębem rząd białych frywolitkowych kółeczek pikotami pozepianych.

N. 44. Fartuszek z gorsekiem i szelkami.

Z tyłu zapinany, 16 c. długi gorsek półbatystowego fartuszka, daje się naprzemian z gipiurówój i haftowanój wstawki na przody. Szelki stanowią falbanki z nagłówkiem, przyszyte w tyle do paska, kokardką zakończonych. Wykrój szyi gorseka, kieszonki i powyżej obrębu dolnego dane falbanki, całem są przybraniem.

N. 45—46. Dwa penioary. Opis i krój na dod. N. IV, fig. 9—11.

N. 47—48. Dwie ranne chusteczki.

Chusteczki podobne z prostego trójkąta, mogą się tylko różnić garniunkiem. Modele podane przedstawiają je z przodu i z tyłu. Rozeta ryc. 56 zdobi narożniki chustki.

N. 49—50 i 12. Dwoje majtek damskich. Krój i opis na dod. N. XII, fig. 36 i 38.

N. 51—52. Dwie męskie koszule. Krój i opis na dod. N. V, fig. 12—16.

N. 53. Szlafrok damski.

Powłóczysty szlafrok z tkaniny na czarnem tle, w pasową, żółtą i zieloną kratę, bardzo ma zwyczajną formę. Model, tylko poniżej stanu ma pasową flanelową podszewkę. Dół, ozdabia ukośną falbaną, po nad którą idą 3 pasy czarnej aksamitki, która ozdabia również przód szlafroka z szerokim obrębem, i ukrytemi w nim guzikami do spinania. Rękawy aksamitką przybrane, ściągają po nad łokciem, aksamitna kokarda.

N. 54. Ranne ubranie. Opis i krój na dod. N. IV, fig. 9—11.

N. 55. Koniec krawatki. Robota szydełkowa.

Materiał: Tiul w dobrym gatunku, cienki sutasz, nici N. 100 i N. 200. Rycina przedstawia ozdobny koniec krawatki. Gipiurowy liść daje się z grubszych, brzeżek z cieńszych nici. Każda z pięciu części liścia, zaczyna się od końca. Robi się najwpierw: 9 pow. oczek, obrabiając je 1 śc. oczkiem, 2 słup., 3 pod słupkami, 2 słup. i 1 śc. oczkiem;—4 pow. oczka stanowią korzonek łączący czyli środkową żyłkę. Dwa najbliższe listeczki, robią się zupełnie tak samo, następne otrzymują 12, potem 8, a na zakończenie liścia tylko 7 podstawowych oczek. Podług ryc. 55 trzy środkowe, większe części, łatwo się dadzą odrobić, co do dwóch drugich, także niema nic trudnego. Wszystko obrabia się prostym bardzo szlaczkiem. Sutasz pikotami zaczepiony do brzegów tiulu, zakończy krawatkę.

N. 56. Rozeta szydełkowa z plecionką „mignardise“ do ryc. 47 i 48.

N. 57. Rozeta frywolitowa.

Znany sposób robienia podobnego rodzaju rozetek, uwalnia nas od opisu.

N. 58—76. Rozmaite wstawki i koroneczki do bielizny.

Szydełkowa robota z frywolitkami, sutaszem i tasiemką w ząbki. Dzierganie i atlasak. Przy rozmaitych opisach jakie podajemy, ograniczamy się często na samych rycinach. Cała stronica powyższych szlaczków, tak jest dokładnie odrysowana, że nas uwalnia od wszelkiego rodzaju objaśnień.

Opis dodatku do N. 15.

N. 1. Suknia z tuniką dla starszej osoby.

Prostą tunikę, kilkoma fałdami po bokach podjętą, otwartą zupełnie z tyłu, nosić można na spódnicy z długim trenem lub na kostiumowej. Model z ciężkiego jedwabnego rypsu, prócz listwy szerokiej z atłasowymi wypustkami, ma wokoło szeroką koronkę, sięgającą aż do paska, gdzie ułożona płasko w rodzaj kokard, pięknie się drapuje. — Listwy i koronkowe falbany po nad łokciem ubierają rękawy. Kołnierzyk koronkowy z mankietami, czepeczek takież z kolorową aksamitką i kwiatami uzupełniają ubranie.

N. 2. Suknia do pierwszej komunji.

Na białej muslinowej sukience, z obu stron przystębnowane pliski płócienne, stanowią skromne lecz ładne przybranie spódniczki, bluzki i szarfy. Staniczek bluzkowy ukośnie się zakłada z przodu, jak to widzimy na ryc. 52. Pliski płócienne idące od staniczka w dalszym ciągu na spódnicy, nadają jej powierzchowność tak zwaną „robe princesse“.

N. 3. Ubranie z paletotem dla panienki.

Na czarnej jedwabnej spódnicy, gładki aksamitny paletot, przepasany w stanie, ma u dołu poczwórne rypsove pliski, podwójnie dane wzdłuż guzików z przodu. Szarfa rypsova czarna. Stożący kołnierzyk z wykładami i rękawki białe oraz krzyżyk na aksamitce dopełniają ubrania.

N. 4. Worek do chowania zbrudzonych drobiazgów. Deseń na dod. fig. 59.

Worek ten z płótna „écru“ u dołu zmarszczony i przyszyty do denka obciągniętego płótnem, w górze otrzymuje szeroki obręb do przeciągnięcia tasemek. Przy przyszyciu wykładów czyli lambrekiny pod riasę, wsuwa się cienka trzcinka, uwytłaczająca ozdobne wykłady, wyrobione białą grubą bawełną na płótnie, podłożonym kaszmiem. Riasę wszystkie, rzadko się dziergają, podobnie jak desoniki rzucane po tle worka, na które fig. 59 osobny na dodatku podaje deseni.

N. 5 i 6. Lambrekiny do woreczka.

N. 7. Garnirunek do kołnierzyka i mankieta ryc. 33 i 34 w Tyg. Mód N. 14.

N. 8. Ułożenie plisek do kołnierza ryc. 7 i 8 w Tyg. Mód N. 14.

N. 9—26. Litery rozmaite do znaczenia bielizny.

Cały szereg najrozmaitszych cyfr przeznaczony jest na chustki do nosa, poszewki, obrusy i t. d., małe litery na koszule i inne szczegóły bielizny. Wielka cyfra ryc. 26, podana jest na obrusy i prześcieradła. Zwracamy uwagę na łatwą i szybką robotę; niektóre objaśnienia co do mieszanja kolorowej bawełny, niebędą zbyt cenne. Przy chustkach z kolorowymi brzeżkami, trzeba w cyfrach dobierać bawełnę w cieniach szlaczku. Ścieg podłużny można wszędzie zastąpić stembnówką, okręcając ją nitką z powrotem. Ryc. 9—10, podaje litery łatwe i efektowne na chustki, poszewki i t. d., które można przez cały alfabet przeprowadzić. — Ryc. 9 podaje podstawę roboty stembnówką okręcaną i atłaskiem. Ryc. 10 przedstawia prędszy sposób roboty w tym samym rodzaju. Każde dwie nitki bawełny przytrzymują się poprzecznie białym albo kolorowym ściegiem; przegradzające je atłaskowe na ryc. 9 muszki, na literze ryc. 10 zapewniają się po odznaczeniu węzłkami. Tym samym sposobem odrabiają się litery ryc. 16 i 17 białe i kolorowe przerabiane na atłaskowej podstawie. Obie litery R w ryc. 18 i 24 robią się luźnymi ściegami.

N. 27—39. Szlaki, koronki i atłaskowe rzuciki do kaftaników, spódnice, penioarów i rozmaitej innej bielizny.

N. 40—41. Narożniki na haft atłaskowy do kaftanika, ryc. 25 w Tyg. Mód, N. 14.

N. 42. Talma z kapturkiem.

Aksamitna czarna talma zeszyta w tyle 276 c. obwodu u dołu licząca, 67 c. z przodu a 73 c. w tyle długa, ma rodzaj klapy rypsowej jedwabnej, spadającej przez ramiona na plecy, oszytą koronką i sznurem w deseń przybraną. Jeśli talma jest czarna kaszmirowa, kłapa naśladująca rodzaj kaptura, może być aksamitna.

N. 43. Paletot luźny z kołnierzykiem.

Cała elegancja 45 c. długiego paletota, polega w kołnierzu, spadającym w tyle jak kłapa talmy ryc. 42. Na sztywnym muslinie podszewką podbity, składa się z dwóch części, zeszytych środkiem w tyle 16 c., z przodu 7 c. długich, u góry 11 c., u dołu w tyle 6 1/2 c. szerokich. W koło przy atłasowym pasku nadmarszczona 3 c. szeroka gipiura, uzupełnia 3 1/2 c. szer. szmuklerska obszewka.

N. 44. Paletot weinany z szerokimi rękawami.

Model z przodu luźny 55 c. długi, z tyłu weinany, 64 c. długi, z rozporkiem 21 c. wynoszącym, ubiera w koło pliska z atłasową wypustką bez sznurka 1 1/2 c. i 1/2 c. szer. jedwabna taśma, guziki szmuklerskie i 7 c. długa kwaścikowa frendzla. Kłapka 18 c. długa, w górze 3 c., u dołu 5 c. szeroka, spada od wykroju szyi. Pliski dane od klapki, otaczają wykroj szyi. Przody ubierają się u dołu szerokimi, a wzdłuż wązkimi pliskami. Wązko oszyty stożący kołnierzyk, obejmuje wykroj szyi.

N. 45. Torebka.

Materiał: cienka skóra, materja, 2 c. szer. wstążeczka, 96 c. jedwabnego sznura, 2 kwaściki, 2 jedwabiem okręcone guziki, sznurek karbowany, kordonek i jedwab popielaty, czarny kordonek, złoty sznurek, paciorki. Torebka ta w rodzaju teki z 30 c. długiego a 23 c. szer. kawałka skóry, haftuje się podług wzoru ryc. 45. Dwa jedwabne paski 5 1/2 c. szerokie wązko popielatą materją oblamowane, obrębione, przyszyte do wierzchołów podszewką podbitych, stanowią suflety, założone w grubą kontrafałdę u dołu. Riasa z popielatej wstążki, pokrywa przyszyte sufletów. Sznur jedwabny 96 c. długi, służy za pałączek, trzy razy przeciągnięty i jedwabiem okręcony, paciorkiem drewnianym w jedno zebrany.

N. 46—49. Torebka na jedwab i nici.

Materiał: płótno popielate, materja, wstążeczka (2 c. szer.) jedwab szafirowy, 3 porcelanowe guziki. Na rycinach przedstawiona dwójako torebka, wyszyta jest podług ryc. 48 w naturalnej wielkości podanej. Model wymaga 31 c. długiego, a 12 c. szer. kawałka popielatego płótna. Ryc. 49 podaje także próbkę roboty z tasemki koronkowej, która się może na wierzeh kieszonki przydać. Podbiwszy szafirową materją dają się najpierw dwie kieszonki jedwabne, z których dolna trzy razy przedzielona jak na ryc. 47, na guziki, śpilki, igły etc. Przez środek przyszywa się podwójny pas 5 razy podzielony na przesunięcie jedwabiu i nici. W koło daje się lamowanie ze wstążeczki; na brzegach петельki do zapięcia po złożeniu kieszonki.

Dokończenie opisu do N. 16.

N. 36. Kapelusz okrągły z woalem.

Kapelusz okrągły formą toczka, pokryty czarnym jedwabnym tiulem, ma rondko czarne aksamitne 3 c. szerokie wkoło podwinięte do góry. Pięć cent. szeroka, fałdowana koronka, podszyta jest z przodu w górę po nad rondkiem. Woalik z jedwabnego tiulu przecięty w kształcie rogówki mającej 71 c. długości, oszyty jest frendzelką 1 1/2 c. szeroką. Skośny brzeg woalki zbiera się w fałdy i przypina z tyłu kapelusza. Powyżej wpięta kitka z piór i gałązka róży.

N. 37. Kapelusz wiązany.

Główka kapelusza pokryta jest popielatym rypsem, w płaskie duże fałdy ułożonym. Rondko nakształt diademu podniesione z wierzchu, od spodu podjęte 6 c. szeroką, w rulon zwiniętą wstążką rypsową. Takieże szerokości wstążka oszyta z jednej strony frendzlą, przypięta w sposób na rysunku wskazanym, stroi tył kapelusza i stanowi barbkę z przodu złączoną kokardą. Wstążki do ronda przypięte służą do wiązania. Rondo podgarbiowane 3 c. szeroką koronką i podpięte kokardami ze skośnego rypsu, ułożonemi na agremanie. Zwierzchu przypięte strusie pióro i bukiet bzu.

N. 38. Kokarda z motylem. Koronka irlandzka.

Podobne motyle nie tylko na kokardę do włosów lecz i do przystrojenia sukni użyte być mogą. Gipiurowy sznureczek użyty do oznaczenia obwodu, posiada potrzebną sztywność może być odpowiednio formie wygięty i zachowuje kształt nadany. Pod sznur poddaje się wązka cieniutka tasemka koronkowa, do której ażurowych brzegów przyrabia się kratki. Rodzaj krutek wskazuje rysunek, zresztą mogą one być stosownie do gustu zmienione, byle tylko ich układ oznaczał różne zwykłe na skrzydłach motyli, znajdujące się desenie. Na kokardę pod motylem najlepiej użyć wstążki rypsowej.

N. 39. Część serwetki z kwadratów siatki gipiurowej i płótna oszyta zębami.

Próbki roboty i opis podany będzie w numerze 17 Tygodnika Mód rycina 3 i 7.

N. 40. Część serwetki lub patarafka.

Na szarem płótnie kratkowanym lub kanwie Jawa wyszywa się włóczką w jasnych kolorach albo też bawełną, białą i pasową lub z domieszaniami czarnego jedwabiu. Frendzla wysiepana lub robiona z krętej bawełny dwoma kolorami przydziergana, stanowi zakończenie serwetki.

N. 41—42. Suknia przybrana pasmanterją z frywolitek. Przód i plecy.

N. 43. Ubranie balowe.

Suknia biała jedwabna ma u dołu 420 c. szerokości, długości z tyłu 162, z przodu 100 c. Przybrana bufami z jedwabnego tiulu, zakończonemi u dołu plisowaniem, u góry ruszą ze wstążki. Na bufach i tunice rozrzucone są bukietki z kwiatów. Tunika, berta i krótkie rękawki z jedwabnego tiulu, także bukietkami przepinane. Szarfa z szerokiej rypsowej wstążki z frendzlą długą siepaną lub szmuklerską.

N. 44. Ubranie spacerowe.

Suknia z ciemno zielonego rypsu, ma spódnice gładką do ziemi, na niej tunika tylko o 23 c. krótsza, zakończona u dołu frendzlą wełnianą, wyżej w odstępie oszyta plisą aksamitną 7 c. szeroką. Luźny paletocik z przodu 48 c., z tyłu 54 c. długi i na 23 c. wzdłuż pleców przecięty, podszyty jest pasową flanelką. Rękawy u dołu 44 c. szerokie, zakończone są szerokim aksamitnem obłożeniem. Plisa 5 c. szeroka i wełniana frendzla stanowią oszycie brzegów. Aksamitny kołnierzyk oszyty jest frendzlą.